

# Madonna z Piaskowej Góry

Barcz Andrzej Krzysztof



calibre 0.9.27

Powieść co miesiąc - 087 - Powieść co miesiąc

*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

Andrzej Krzysztof Barcz

## **Madonna z Piaskowej Góry**

ISKRY Warszawa 1976



Było gorąco. W autobusie panowała atmosfera nie do wytrzymania. Paweł siedział obok kierowcy; przedzielała ich tylko maska silnika, wyłożona zieloną ceratą, dodatkowo ogrzewającego wnętrza. Słońce zniżało się powoli do horyzontu. Paweł był od rana w drodze i teraz zasypiał prawie ze zmęczenia. Kierowca pogwizdywał z uporem jedną melodyjkę. Wreszcie ukazał się drogowskaz.: Piaskowa Góra - 3 km. Jechali drogą wysadzoną starymi topolami.

Kiedy samochód skręcał w prawo, z lewej strony można było zobaczyć miasteczko z górującą nad nim wieżą dzwonnicy kościelnej. Pekaes wtaczał się wolno w uliczki, które - jak we wszystkich starych osadach - wiodły pod górę, gdzie, jak się można było spodziewać, znajdował się rynek.

Autobus zatrzymał się. Paweł z ulgą wysiadł, taszcząc dużą płócienną torbę. Za nim wychodzili inni i wsiadali nowi pasażerowie. Zapalił papierosa rozglądając się ciekawie.

Piaskowa Góra liczyła tylko cztery tysiące mieszkańców, Rynek był zlepkiem różnych stylów, królowały jednak, wyższe od innych, solidne sześciany współczesnych budynków, kokietując czerwoną cegłą.

Podszedł do kiosku chcąc kupić na zapas paczkę Klubowych. Grupka młodych ludzi okupujących jedyny na rynku skwerek leniwie rozstała się przed nim, przyglądając mu się z zainteresowaniem. Kioskarka, starsza kobieta, także spojrzała z uwagą na młodego, brodatego mężczyznę; był nowy w tym miasteczku i jak każdy nowy musiał zebrać swoją porcję spojrzeń i komentarzy.

W końcu uliczki biegnącej od rynku w dół zauważył ogromny gotycki kościół - cel swojej podróży. Ulica ta, o nazwie „Kościelna”, nie miała więcej jak dwieście metrów. Stały na niej pokrzywione parterowe domki, a prawie naprzeciw siebie - dwa konkurujące ze sobą zakłady stolarskie z sugestywnie wymalowanymi trumnami.

Zbliżając się do kościoła pomyślał, że rację mieli koledzy opowiadający o jego pięknie. Stary obiekt sakralny robił rzeczywiście duże wrażenie, zwłaszcza stojąca obok dzwonnica, najstarsza z całego kompleksu.

Ładny drewniany dom nie opodal był na pewno plebanią. Paweł wszedł, usłyszawszy w odpowiedzi na swoje pukanie spokojne „proszę”.

W dużej jasnej izbie siedział starszy ksiądz, który uprzejmie podniósł się na jego powitanie.

- Dzień dobry. Nazywam się Paweł Wert. Jestem konserwatorem i, jak to było uzgodnione, przyjechałem dokończyć pracy nad polichromią.

- Ach tak, bardzo się cieszę. - Ksiądz wyciągnął do niego rękę. - Proszę siadać, na pewno jest pan zmęczony. Zaraz zjemy podwieczorek i napijemy się kawy.

Paweł z ulgą oddychał chłodnym powietrzem przesyconym zapachem macierzanki. Po chwili kobieta w szarym fartuchu nakryła do stołu. Na białym obrusie pojawiły się sery, miód i konfitury. Proboszcz jadł mało. Paweł natomiast, wygłodzony podróżą, pochłaniał wszystko z apetytem. Nie

mówili nic. Dopiero przy kawie, kiedy przeszli na werandę wychodzącą na wspaniale utrzymany ogród, ksiądz zapytał:

- Pan, jak sądzę, słyszał o tragedii swojego poprzednika?

Nazywa to tragedią. To dobrze - pomyślał Paweł sadowiac się wygodnie w wiklinowym fotelu.

- Tak, coś dotarło do mnie. Ale nie znam bliższych szczegółów - odpowiedział.

Ksiądz był wyraźnie zadowolony.

- Wie pan, myślałem, że nikt już tutaj nie przyjedzie. Ludzie boją się obejmować stanowiska, na których zdarzyła się jakaś tragedia.

- Byłem w lipcu na urlopie. Zaraz po przyjeździe zostałem przysłany tutaj. Dlatego wiem o wszystkim jedynie z relacji szefa.

Proboszcz sięgnął po konfitury. Dopiero po dłuższej ciszy powiedział:

- No tak. Ja bardzo lubiłem Branieckiego.

- Długo tu pracował?

- Przyjechał trzy miesiące temu. Był pracowity, dużo zrobił. Tu kościół duży, zabytków sporo, wszystkie skatalogowane. A on nagle z taką rewelacją...

- Był fanatykiem swojego zawodu.

- Zbyt krótko go znałem, żeby go określić mianem fanatyka. Ale był sumienny jak każdy prawdziwy fachowiec.

Paweł zauważył podsłuchującą gospodynię i właśnie zastanawiał się, czy jest to szczegół znaczący, czy tylko przyczynek do obyczajowości małego miasteczka. Z zamyślenia wyrwał go głos księdza:

- Odkrył figurkę Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Ustawiliśmy ją na ołtarzu głównym.

- A gdzie znajdowała się dotychczas?

- Trzymaliśmy ją jak większość rzeczy w skrzyniach, a Braniecki dopatrzył się w niej aż XII lub początków XIII wieku.

- Byłby to zabytek dużej klasy.

- Właśnie - byłby, ale zniknął. Braniecki twierdził, że było to dzieło szkoły południowofrancuskiej. Świetna robota snycerska, dużej klasy zabytek.

Paweł nie był pewien, czy podziw w głosie proboszcza był rzeczywiście wywołany tym niezwykłym odkryciem, czy smakiem konfitur.

- Ucieszyłem się bardzo, zawiadomiłem kurię, a on swoje władze. Miała się zebrać komisja rzeczoznawców. Ale wtedy go zamordowano, a figurka zniknęła.

Pawła nie tyle interesowała treść zdań wypowiedzianych przez księdza, co jego osobisty stosunek do tej sprawy.

- Czy figurka była chroniona?

- Właśnie. Ostatnio trzymał ją w domu. Była to lekkomyślność, ale był bardzo przywiązany do swojego odkrycia. Być może uważał, że przy nim figurka będzie bezpieczniejsza.

- Tak, była to lekkomyślność.

- Złodziej próbował ją może po cichu wykraść w nocy, Braniecki obudził się i dalej wiadomo.

Paweł pomyślał, w jaki sposób złodziej mógł wejść do pokoju, kiedy klucz z odciskami palców Branieckiego tkwił w zamku od wewnątrz, a on sam został znaleziony przy drzwiach.

Spojrzał na proboszcza i zmieniając temat zapytał:

- Czy prace przy odślanianiu polichromii zaszły już daleko?

- Tak, ale i dla pana starczy. Widzę, że jest pan zmęczony.

Paweł chciał oponować, ale proboszcz ciągnął dalej:

- Pokażę panu dom, gdzie będzie pan mieszkał. Jest to niestety mieszkanie, w którym... - urwał dyplomatycznie. - Wynajmuje je dobra parafianka. W każdym razie tanio i czysto.

Wyszli na dwór.

- To ten dom za kościołem, u pani Zatlókowej. Do widzenia.

Dom, w którym Paweł miał mieszkać, był zwyczajną parterową chałupką, której okiennice pomalowano były w różnobarwne kwiaty.

- Pan od księdza proboszcza? Proszę bardzo, to len pokój.

Siwa staruszka w długiej, czarnej sukni dreptała przed nim, wskazując drzwi. Paweł rozejrzał się po izbie i zapytał:

- Gdzie będzie można się umyć?

- Woda jest w dzbanku, zaraz przyniosę miskę.

Staruszka zniknęła w drugim pomieszczeniu. Paweł badał właśnie ręką miękkość pościania, kiedy znów stanęła w drzwiach z miską w rękach.

- Pościel świeżo powleczone.

- Czy będzie można korzystać z oddzielnego wejścia?

- Oczywiście, klucz zaraz przyniosę. Drzwi całą noc otwarte, a ja zamykam się, więc proszę nie pukać. Zresztą i tak słabo słyszę.

- Proszę się nie niepokoić, nie będę pani przeszkadzał.

- Czy pan też z Warszawy? - Spojrzała mu prosto w oczy. Była stara, starsza niż jej dom.

- Tak, z Warszawy. To tu mieszkał mój poprzednik?

- To pan wie? No tak, to właśnie tu. Panie, co ja przez to wszystko miałam - głos jej się załamał - milicja, śledztwo. Robili fotografie. Tu, na podłodze przy drzwiach, kredą malowali; ledwo pościierałam. Ale co lam, szkoda tylko człowieka. Dobry był przecież i katolik, tylko z babami za bardzo... Łaziły pod oknami jak te głupie. No, ale co tam, młody.

- Więc tu pod drzwiami go znaleziono? - przerwał Paweł.

- Ja nie wiem, bałam się wejść. Znalazła go nauczycielka Marta. Kochała się w nim. Przyszła rano z mlekiem, niby to zrobić śniadanie. Krzyku narobiła. Chociaż ja nic nie słyszałam - zastrzegła się. - Przyjechała milicja i obudzili mnie. Przesłuchiwał mnie kapitan z Ostrowa. Całkiem grzeczny, ale co zrobić, jak ja nic nie wiem.

- A jego rzeczy?

- Oddali żonie.

- Przyjechała tutaj?

- Przyjechała. Taksówką.

- Co pani powie?

- Elegancka kobieta.

- Rozpaczała pewno?

- Powiem panu w sekrecie, że była mało przejęta. I miała tylko czarną apaszkę. Prawdę powiedziawszy, nie bardzo podobała się tutejszym ludziom.

- A ta nauczycielka, jak to przyjęła?

- Rozpaczwała bardzo i na pewno nie udawała. On na pewno byłby z nią szczęśliwszy.

Paweł uśmiechnął się. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi po przedstawicielce miejscowej dewocji.

- A ta rzeźba, która zginęła? Gdzie ją trzymał?

- Najświętsza Panna? Stała tu, na stole. Potrafił się w nią wpatrywać godzinami, - W jej oczach zauważył jakiś błysk ironii, ale może mu się tak tylko zdawało. - To ja już pójdę, życzę dobrej nocy. Aha, śniadanie, o której podać?

- O ósmej, jeśli można.

Paweł został sam. Była dopiero dziewiąta. Wcześniej tu chodzą spać - pomyślał. Rozejrzał się po pokoju. Umeblowany był skromnie, lecz schludnie. Metalowe łóżko z białą nakrochmaloną pościelą, szafa, stół służący do jedzenia i pracy, za parawanem przy piecu stała miska i dzbanek. W oknach krótkie zasłony na tasiemkach. Od ulicy dobiegały głosy przechodniów, ich sylwetki migwały w oknach.

Nie zapalając światła Paweł rozebrał się i położył. Próbował jeszcze myśleć o pracy, jaka go czekała nazajutrz, ale po chwili już spał mocnym snem młodego zmęczonego człowieka.

Obudził się wcześniej i poszedł obejrzeć kościół. Wystarczyło przejść tylko na drugą stronę ulicy. Nad portalem głównego wejścia widać było napis: „Tu Cię, Panie, chwalimy od 1395 roku”. Wszedł do środka.

Był to wspaniale zachowany pomnik sztuki gotyckiej. Wybudowany systemem halowym, wydawał się przytulniejszy i bardziej swojski od znanych Pawłowi katedr francuskich.

Oprócz niego nie było tu nikogo. W głębokiej ciszy, jaka tu panowała, słyszał skrzypienie swoich butów i szelest ubrania.

Obejrzał wspaniałe sklepienie, podparte dwoma szeregami kolumn. Z lewej strony prezbiterium zauważył fragmenty polichromii. Ostrożnie zdejmowane warstwy tynku odsłoniły szlachetnie prosty rysunek anonimowego artysty. Patrzył w skupieniu na świetnie zachowaną, lecz wyciszoną barwę malowidła. To tu, przy tej ścianie pracował Jerzy Braniecki.

- Dzień dobry. To pan jest tym nowym historykiem sztuki?

Paweł odwrócił się gwałtownie. Za nim stał uśmiechnięty trzydziestoletni może mężczyzna. Ubrany w skórzaną kurtkę i kolorową kraciatą koszulę, podrzucał w ręce kluczyki samochodowe.

- Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Tobola - powiedział nie czekając na odpowiedź Pawła. - Dla znajomych: Dzidek.

- Tak, jestem konserwatorem. Nazywam się Wert.

- Ja też jestem tu tylko przejazdem, więc niech się pan nie dziwi, że szukam bratniej duszy. W mieście już głośno o pańskim przyjeździe. W tej dziurze wszyscy o wszystkim wiedzą, a na dodatek można umrzeć z nudów. Piękne gmaszysko, prawda? A organy - kiedyś najlepsze w Polsce. Teraz nieczynne; trzeba pół miliona na remont. Organista gra na fisharmonii.

Paweł spojrział na chór, gdzie stały, imponujące i majestatyczne, stare poczerńiałe organy.

- Piękne, co? Dziwne, że tak mało ludzi przyjeżdża odwiedzać ten zabytek. Gdyby go odpowiednio zareklamować... Ale po co ja się wtrącam do nie swoich spraw. Teraz muszę dopilnować roboty: budujemy tu największy w województwie browar. Co pan by na to powiedział, gdybyśmy tak po południu skoczyli do miejscowej gospody?

- Będzie mi miło. - Paweł był rzeczywiście zadowolony.

- No to świetnie. Do zobaczenia o piętnastej.

Tobola odszedł. Paweł znowu został sam. Postanowił poszperać w kościelnym archiwum, gdzie najwięcej czasu spędzał Braniecki. Kiedy wyszedł na słońce, przez chwilę musiał mrużyć oczy.

Proboszcz udostępnił mu papiery i Paweł siedział nad robotą do południa. Dopiero gdy poczuł głód, przypomniał sobie o spotkaniu.

Na ulicy mieszkańcy miasteczka obrzucali go ciekawymi spojrzeniami. Zapytany chłopiec wskazał mu drogę do gospody. Był to nowoczesny budynek z tarasem i kolorowymi parasolami, na którym wielkimi literami napisane było „Regionalna”.

Wszedł do prawie pustej sali. Tobola siedział już przy stoliku.

- No, jest pan nareszcie.

Senna kelnerka w mini spódniczce podeszła do nich; jej rozmarzony wzrok błędził gdzieś za oknem.

- Pani Zosiu, dwa koniaki. Paweł skrzywił się.

- Może w taki upał coś chłodniejszego...

Tobola żywo przyklasnął.

- I dwa piwa, pani Zosiu!

Paweł zamówił jeszcze kotlet schabowy, jedyne danie obiadowe, jakie figurowało w karcie.

- Dobrze, że pan przyszedł.

- Umówiliśmy się przecież.



- Teraz słowa nie są w cenie. - Toboła uśmiechnął się jakby przepraszająco.

- Strasznie tu chyba nudno.

- Dziewczyn mało, jedno kino; tylko popijać.

- Od dawna się pan tutaj tak męczy?

- Mieszkam w Ostrowie. Powiatowe miasto dwadzieścia kilometrów stąd.

- Tam też pewnie nuda? Toboła jakby nie dosłyszał.

- Mam prywatną kwaterę, zakład płaci.

- Pewnie niewygodna?

- Nie, na brak wygód nie mogę narzekać. Prywatna willa na Jaskrowej, pokój z kuchnią na piętrze. Można robić, co się żywnie podoba. Właściciele starzy i głusi, mam więc pełną swobodę.

- Więc prawdziwy luksus.

- Jest także garaż ze starej szopy, w którym wnuczek przerabia rowery na motorowery i odwrotnie, i jest dumny, że ma teraz u siebie Fiata 132. - Toboła zręcznie sprzedał markę swojego samochodu. - Przyjeżdżam tu codziennie. Jak już mówiłem, moje kieleckie przedsiębiorstwo buduje tu browar.

- No, to Piaskowa Góra będzie miała własne piwo.

- Odkryto źródła, piwo będzie niezłe.

Nie tak jak ta lura, którą pijemy. Na zdrowie.

Paweł podniósł kieliszek, tręcili się.

- Jak powiedziałem, dla znajomych: Dzidek.

- Paweł. Dawno tu siedzisz?

- Chcesz wiedzieć, czy byłem tu już w czasie wypadku? - zainteresował się Toboła.

Ten znów nazywa to wypadkiem - pomyślał Paweł. - No, między innymi.

- Wiesz, co tu się działo? Przesłuchiwali prawie całe miasteczko. Mnie i moich robotników również. Szukają teraz jednego miejscowego zakapiora o nazwisku Waśko, który jak wtedy prysnął na „autostop”, to go do tej pory nie ma.

- Mam od zaprzyjaźnionego małżeństwa adres pani, która prowadzi tutaj sklep galanteryjny.

Paweł zajął do swego notesu.

- Irena Firas, Piaskowa Góra, Rynek 14.- Podniósł wzrok na Tobolę. - Czy mógłbyś mi coś o niej powiedzieć? Nie wiem, czy warto ją odwiedzić.

Tobola przyjrzał mu się uważnie.

- Nie znam jej osobiście, ale zdaje się, że w dziwny sposób jest zamieszana w TĘ sprawę. Była przesłuchiwana...

Lokal powoli wypełniał się. Jakiś młodzian walił w grającą szafę, próbując nakłonić piosenkarkę, aby jeszcze raz zaśpiewała o autobusach i ich smutnych pyskach. Wszyscy pili piwo, tylko dziewczęta dystyngowanie zamawiały kawę.

Tobola wodził wokół znudzonym wzrokiem, bawiąc się swoją zagraniczną zapalniczką. Nagle ożywił się i skłonił uniżenie. Na salę wszedł starszy przystojny mężczyzna, ubrany w jasny tropikowy garnitur. Rozejrzał się i na zapraszający gest Toboli podszedł do ich stolika.

- Panowie się jeszcze nie znacie? Pan Wert z Warszawy na miejsce biednego Branieckiego. Doktor Detyniecki, tuz tutejszej medycyny, światowej sławy kolekcjoner, nasz protektor.

Doktor nawet nie mrugnął okiem. Uścisnęli sobie z Pawłem rękę. Dłoń doktora była wilgotna.

Senna kelnerka stała już przy stoliku.

- Kawa - zadysponował Detyniecki. - Pan tu do nas na długo?

- Aż skończę zaczęta przez kolegę pracę. A jest jeszcze tego sporo.

- Tak, ten kościół to perła. Trzeba o niego dbać. Gdzie pan skończył historię sztuki, jeżeli można spytać?

- Konserwatorstwo i zabytkoznawstwo w Toruniu.

- A, docent Mieczysław Lewandowski i jego asystent Polon. Tak, znam. Dobre ręce. Wie pan, że mam taki śmieszny zwyczaj: urządzam w czwartki obiady dla przyjaciół i znajomych.

- He, he, jak król Staś - zarechotał Tobola, lecz zaraz umilkł pod spojrzeniem Detynieckiego.

- Jeżeli więc pan nie pogardzi, zapraszam na jutro. Pozna pan ciekawych ludzi. Muszę już lecieć, pacjenci czekają.

Odszedł, z gracją zonglując między stolikami.

Tobola rozgadał się teraz na dobre.

- Dobry magnacik, co? - mówił o doktorze. - Ma cholernie pańskie zadęcia, a jego ojciec przed

wojną flaki sobie wypruwał, żeby go wykształcić.

- Tak bywa.

- Ale trzeba mu przyznać, umiał się dorobić i zdolny jest.

Paweł przez chwilę zastanawiał się nad tym zdaniem i zapytał:

- Czy jego kolekcja jest duża?

- Rzeczywiście wspaniała.

- A czy naprawdę jest znawcą?

- Tego nie mogę powiedzieć, musiałbym mieć twoją wiedzę. - Toboła zrobił przerwę, aby nadać większy efekt swojemu komplementowi. - Nawet jeśli z początku był nuworyszem, musiał się wyrobić. Ma duże kontakty wśród zbieraczy w kraju i za granicą.

- Aż tak?

- W Polsce sprzedał niedawno muzeum w Łodzi kilka portretów sarmackich. Przynajmniej się tym chwali.

- Był chyba bardzo podejrzany?

- Milicja dwa razy go przesłuchiwała, ale nic mu nie mogą zrobić. - Jakaś nutka żalu zadrgała w głosie Toboli.

- A komu właściwie Braniecki powiedział o swoim odkryciu?

- Nikomu.

- Jak to?

- To znaczy do pewnego czasu, bo potem opowiedział o tym właśnie na obiedzie u doktora.

- Czy dużo wtedy było osób?

- Wszyscy, jak zwykle.

- Kto u niego bywa?

- Poznasz wszystkich jutro. Oprócz weterynarza Nowocicnia.

- Dlaczego jutro go nie będzie?

- Wyjechał na urlop.

- Dziwna sprawa.

- Dlaczego dziwna? - Tobola zrobił głupią minę.

- Nie chodzi o weterynarza - sprostował Paweł. - Myślałem o czym innym.

- Faktycznie dziwna - przyznał Tobola. - Braniecki prosił nas o dyskrecję do czasu otrzymania wyników oficjalnej ekspertyzy. Ale wiesz, jak to jest w miasteczku: jeden powiedział żonie, drugi kochance - i poszło,

- Można jednak założyć, że nikt spoza tego kręgu nie wiedział, jaka jest wartość Madonny?

- Mogli nie wiedzieć - powiedział Tobola z namysłem - ale jeżeli już się dowiedzieli, to na pewno jej wartość urosła jeszcze.

Paweł uśmiechnął się.

- A według ciebie, ile mogła być warta?

- Ja się na tym nie znam. W każdym razie; Braniecki mówił, że jeżeli to oryginał, a tego był w zasadzie pewien, to będzie to druga w Polsce tak piękna figurka po Madonnie z Kruźlowej. O, zobacz! - przerwał. - Idzie ta nauczycielka, która kochała się w Branieckim.

Paweł wyjrzał przez okno, za którym właśnie przechodziła wysoka, lekko przygarbiona dziewczyna. Ubrana była szaro i skromnie.

Tobola pochylił się w kierunku Pawła.

- Z nią to dopiero była heca!

- To ta nauczycielka?

- Tak, Nowakówna. Słyszałeś już o niej?

- Dowiedziałem się od mojej gospodyni.

- Była to wielka miłość. - W głosie Toboli słychać było ironię zmieszaną z podziwem. - Dziewczyna szykowała się na rychły wyjazd do miasta, aż tu któregoś dnia Braniecki powiedział jej o żonie i dzieciach. Tu ludzie wszystko słyszą, a podobno było czego posłuchać...

- Jak zareagowała?

- Dostała hysterii. Powiedziała, że go nigdy nie zostawi. Codziennie przynosiła mu rano mleko, tylko już nie spacerowali wieczorem.

- Jak się zachowuje teraz?

- Po jego śmierci rzadko wychodzi z domu. Dobrze, że są wakacje, bo chyba by sobie rady nie dała. Ale i tak poderwała sobie autorytet u rodziców.

- Gdzie ona mieszka? Tobola uśmiechnął się.

- W tym żółtym domu na rynku przy kiosku. Co, chciałbyś ją pocieszyć? Trudno ci będzie, stoisz na straconej pozycji. Ona teraz z nikim nie chce rozmawiać. Wychodzi z domu tylko wtedy, kiedy musi. Czy nie lepsze są te pod oknem?

- To przecież jeszcze dzieci.

- Teraz młodzież wcześniej dojrzewa. Raz dwa i po krzyku, żadnych komplikacji.

Pod oknem tuż przy szafie grającej siedziały dwie dziewczyny, zerkając na nich i coś szepcząc. Co chwila wybuchały śmiechem. Jedna z nich żując zapalkę podrygiwała na krześle w rytm melodii.

Paweł wstał.

- Fajne, ale mam jeszcze dużo roboty. Muszę najpierw mocno stanąć na nogach. Jutro spotkamy się na obiedzie.

Tobola próbował go zatrzymać, ale widząc, że to bezskuteczne, zrezygnował. Paweł wychodząc odwrócił się. Tobola podchodził właśnie do stolika przy oknie.

Paweł wyszedł z restauracji i ruszył pod górę w kierunku rynku. Wydawało mu się, że nic na nim się nie zmieniło od chwili, kiedy przechodził tu przed godziną. Ci sami ludzie stali w tych samych pozach. Panienska sprzedająca lody włoskie znowu uśmiechnęła się do niego. Poszukał wzrokiem sklepu galanteryjnego. Państwowe sklepy miały duże wystawy i kolorowe szklane szyldy nad nimi. Dostrzegł wreszcie małe okno, w którym gipsowe popiersie młodej damy obwieszona było plastikową biżuterią. Leżały tam też koszule i bluzki, modne korkowce i zabawki mogące wzbudzić przestrach nawet najodważniejszych rodziców. W górze wystawy wisiał mały niebieski szyldzik z dyskretnym napisem: IRENA FIRAS - ARTYKUŁY RÓŻNE

O jego wejściu do sklepu oznajmił dzwonek umieszczony nad drzwiami. Wbrew temu, co można było sądzić po małej wystawie, wewnątrz było niespodziewanie obszerne. Panował tu lekki półmrok. Paweł zdziwił się różnorodnością towarów. Zauważył nawet buty, męskie i damskie, w kwiatki i gwiazdy, na dziesięciocentymetrowych koturnach. W końcu lady dwie dziewczynki nachylone nad adapterem wybierały dźwiękowe pocztówki.

Właścicielka, sześćdziesięcioletnia może kobieta, rozmawiała cicho z eleganckim mężczyzną, do którego należał chyba czerwony Renault na wrocławskich numerach, który Paweł zauważył przed wejściem. Na widok obcego klienta właścicielka pożegnała się szybko i podeszła do Pawła.

- Czym mogę służyć?

Zadzwieczał dzwonek. W sklepie oprócz nich zostały tylko dwie dziewczynki. Firasowa uważnie taksowała Pawła wzrokiem próbując doszukać się w nim urzędowych cech kontrolera. Jego

broda i długie włosy sprawiły, że rysy jej twarzy wyraźnie się rozluźniły.

- Nie mam zamiaru na razie nic u pani kupować. Przyszedłem tu na prośbę żony Jerzego Branieckiego. Znalazła kartkę, na której jej mąż zanotował, że ma kupić dla pani u prywatnego wytwórcy na Ząbkowskiej trzydzieści medali z wmontowanymi kapiszonami. Braniecka przeze mnie przesyła pani te drobiazgi.

Paweł sięgnął do torby i położył na ladzie tandetnie wykonane krążki.

- Ach tak. - Firasowa uśmiechnęła się z ulgą. - Pogodziłam się już z myślą, że nie ujrzę tego towaru. Prosiłam pana Branieckiego, kiedy miał jechać do Warszawy do żony, by przy okazji załatwił mi tę sprawę.

- I nie zdążył?

- Tak, to straszne. Ale swoją drogą to uczciwa kobieta, że pamiętała o mnie. Dla niej to na pewno drobiazg, ale dla mnie to byłaby wielka strata. Ale że panu chciało się fatygować?

- Właśnie zrobiłem to przy okazji. Objąłem tutaj pracę po Branieckim.

Firasowa była już teraz zupełnie spokojna.

- Sama nie wiem, dlaczego tu jeszcze siedzę, zamiast wracać do syna do Warszawy. W tym sklepie bez przerwy dokładam do interesu, ledwo zarabiam na skromne utrzymanie. W moim wieku coraz trudniej ciągnąć ten wózek.

- Pani chyba jeszcze nie musi uskarżać się na swoje lata. - Paweł chciał zyskać sobie jej przychyłność.

- Bardzo pan miły. - Poprawiła kokieteryjnie kosmyk siwych włosów. - Ale musi pan wiedzieć, że mój wnuk jest niewiele młodszy od pana; w tym roku kończy reżyserię w Łodzi. Wnuczka robi w przyszłym roku maturę i chce zdawać na Akademię Sztuk Pięknych. Czy nie zna pan tam kogoś?

- Nie, nie znam, Ale jeżeli ma talent, to na pewno się dostanie.

Popatrzyła na niego przez chwilę pobłażliwie jak na małe dziecko i zwróciła się do dziewcząt, które przestały już oglądać listy przebojów i przysłuchiwały się rozmowie.

- No jak, dziewczęta, coście wybrały?

Kupiły „Bema pamięci żałobny rapsod”, powołując się na egzamin poprawkowy z języka polskiego. Wreszcie wyszły.

- Nie napiłby się pan kawy? O tej porze prawie nie ma ruchu,

- Dziękuję, przed chwilą piłem - skłamał bez wahania Paweł. - Jeżeli jednak można, to chętnie bym tu chwilę posiedział. To jedyne teraz miejsce, gdzie można oddychać w tym upale.

- Za to zimą ten lokal zamienia się w piwnicę. A ja mam reumatyzm, więc niech pan sobie wyobrazi, jak się mecze. Ale po co ja pana zanudzam swoim zdrowiem. Lepiej niech mi pan opowie coś o Warszawie.

- Pani nieczęsto odwiedza swoje rodzinne miasto?

- Chciałabym, ale to zbyt kosztowne. Podróż - i prezenty trzeba jakieś zawieźć. Skąd na to brać? Gdzie się pan zatrzymał? Jeżeli są jakieś trudności, to pomogę wybrać pokój. Tu na górze jest odpowiedni, z niekrępującym wejściem.

- Dziękuję za dobre chęci, ale mieszkam już u pani Zatlókowej, na ulicy Kościelnej.

- Tam? To niemożliwe. I nie boi się pan? - Uniosła się prawie na krześle.

- Czego mam się bać? Czyżby miano w tym mieście coś przeciwko mnie? - próbował żartować Paweł.

- Nie chodzi o to - zmięgowała się. - Ale zawsze to straszne. Sama myśl, że ktoś został zabity o kilka metrów od mojego łóżka, nie pozwoliłaby mi zmrużyć oka przez całą noc.

- Czy mógłbym wiedzieć, skąd znała pani Jurka?

- Pan Braniecki chciał zmienić mieszkanie i ktoś go skierował do mnie. Ja oczywiście żadnych tu wpływów nie mam - zastrzegła się. - Jednak dla tak miłego chłopca i w dodatku z mojego rodzinnego miasta... Postanowiłam mu pomóc. Prosił tylko, żeby nowy pokój był na piętrze.

- Nie wyprowadził się jednak z Kościelnej.

- Nie. Przyszedł któregoś dnia, przeprosił za kłopot i powiedział, że zostaje na starym miejscu.

- A jak pani sądzi - proszę mi to powiedzieć ze względu na mnie - dlaczego chciał się wyprowadzić stamtąd?

- Tego mi nie powiedział. Kiedy pierwszy raz przyszedł do mnie z tą sprawą, wydawał mi się jakiś podenerwowany. Ale później się uspokoił i zmienił decyzję.

- Kiedy był taki zdenerwowany? Czy jeszcze przed znalezieniem rzeźby?

- O tak, dużo wcześniej. Kiedy już zaczął mówić o niej, stał się zupełnie inny: niemal szczęśliwy.

- A o odkryciu Madonny od kogo się pani dowiedziała?

Zawahała się, jakby sobie przypominając.

- On sam mi o tym opowiadał. Przyszedł tu któregoś dnia i wtedy widziałam go po raz ostatni. - Wstrząsnęła się jakby z zimna.

Chwilę trwała cisza.

- Jestem, raczej przypadkowo, zaproszony na obiad do doktora Detynieckiego. Czy i pani tam będzie?

- Nie, nigdy tam nie bywam. Żyję w przyjaźni z nimi wszystkimi, ale nie wchodzę z nimi w żadne kontakty towarzyskie. To zobowiązuje: imieniny, prezenty, trzeba się rewanżować, a skąd na to wszystko brać?

Paweł uznał pytanie za retoryczne i sam spytał:

- Czy bywa na tych obiadach ktoś, kogo Jurek darzył szczególną sympatią? Ciekaw jestem, czy spotkam tam człowieka o podobnych zainteresowaniach?

- O ile wiem od innych, to pan Braniecki był dla wszystkich jednakowy. Musi pan wiedzieć, że jest to dziwne miasteczko. Ludzie są tutaj zawistni o każdy grosz...

- Zwłaszcza wdowi? - podpowiedział domyślnie Paweł.

- Właśnie. - Rozjaśniła się. - Za to mogę panu powiedzieć, za kim Braniecki na pewno nie przepadał.

Paweł spojrzał wyczekująco.

- Nie cierpiał niejakiego Kordy. Zawsze kiedy usłyszał nazwisko tego starucha, krzywił się z niesmakiem.

- Pani prosiła Branieckiego o przywiezienie medali. Ksiądz coś mi wspominał, że w czasie rewizji znaleziono u Jurka w pokoju jakieś klipsy, czy coś podobnego, pochodzące z pani sklepu. Ciekawe, skąd się tam wzięły?

Firasowa patrzyła gdzieś ponad jego głowę.

- Po prostu te medale to druga przysługa, o jaką prosiłam pana Branieckiego. Pierwszą było przywiezienie od wytwórcy tych klipsów w kształcie serca. I widocznie jakieś zawieruszyły się u niego. Milicja też mnie o to pytała. - Spojrzała na Pawła podejrzliwie.

Zadzwoił dzwonek i do sklepu wszedł starszy mężczyzna. Już od progu zażądał przeciwsłonecznych okularów. Paweł odstąpił od kontuaru.

- To ja już pójdę. Dziękuję bardzo za rozmowę.

- Proszę jeszcze wpaść kiedyś, to może wybierze pan coś u mnie dla narzeczonej.

- Na pewno przyjdę. Zastanawia mnie jeszcze jedno - powiedział Paweł z ręką na kłamce - kiedy Braniecki przywiózł pani te piękne serduszka, jeżeli ksiądz twierdzi, że ani razu nie wyjeżdżał z miasteczka? - Zamknął za sobą drzwi powolutku, aby przytłumić dźwięk dzwonka.



Na obiedzie było wyjątkowo mało osób. Z miejscowych Paweł poznał tylko żonę doktora; kierownika pobliskiego domu poprawczego - Sobocińskiego; właściciela cukierni Zajązkowskiego z żoną Jadwigą oraz przedwojennego rejenta - Korde.

Posadzono go przy Toboli, który jak zwykle tryskał humorem. Małżonka doktora, Lucja, rzadko włączała się do rozmowy, dyskretnie kierując poczynaniami gosposi. Atmosfera była z początku sztywna i dopiero kilka kieliszków domowej nalewki sprawiło, że goście stali się rozmowniejsi.

- Widzi pan, żyjemy tu sobie skromnie, jak u Pana Boga za piecem - mówił doktor zwracając się do Pawła.

- Pomieszkałby wuj w akademiku - wyrwał się bratanek doktora, Filip. Był to młodzieniec szczupły, krótko ostrzyżony, ze śmiałą, otwartą twarzą. W Piaskowej Górze spędzał ostatni miesiąc wakacji.

Mieszkanie doktora było olbrzymie. Paweł musiał przechodzić przez kilka pokoi i dwa przedpokoje w drodze do jadalni. Wszędzie obrazy, rzeźby i antyczne meble. Zauważył wiele płócien Kossaków, ze dwa obrazy Axentowicza, Fałata, a także autoportret Malczewskiego, którego obrazy, wystawione niedawno w Warszawie, wywołały wielkie zainteresowanie.

- Młodzież dzisiaj za dużo wymaga. Przed wojną studiowało się w znacznie cięższych warunkach - powiedział z przekąsem Sobociński.

- To pan te czasy pamięta? - odparował Filip.

Sobociński wyraźnie się speszył. Widać było, że choć przekroczył pięćdziesiątkę, za wszelką cenę chce udawać młodszego. Miał krótkie baczki, koszulę w grochy i pamiętał o wciąganiu brzucha.

- Nie znam tego z autopsji, ale czytało się przecież.

Cukiernik Zajązkowski nic nie mówił, zajęty jedzeniem, co dziwnie nie pasowało do jego przerażającej wprost chudości. Od czasu do czasu powtarzał tylko „tak”, w różnych intonacjach. Głównie mówiła jego żona, pulchna blondynka o niepokojąco dużym biuście.

- Mój mąż ciężko pracował od wojny w interesie, a teraz, kiedy wybudowaliśmy willę z basenem, to plotkują, że niby jesteśmy tacy bogaci. - Wydęła z wyrzutem jaskrawo umalowane usta.

Bratanek doktora zakaszlał gwałtownie.

Kuchnia doktorowej była znakomita. Po bulionie z żółtkiem gosposia zaczęła roznosić ragout z baraniny - specjalność domu, jak zdążył szepnąć Pawłowi Tobola.

- Proponuję toast za zdrowie nowego członka naszej społeczności. - Doktor podniósł kieliszek.

Paweł podziękował ze skromną miną, czując skierowane na siebie spojrzenia wszystkich.

- Biedny Braniewski, był taki przystojny - westchnęła teatralnie pani Jadwiga.

- Dla ciebie wszyscy są przystojni - szepnął jadowicie jej mąż, wypowiadając tak długie zdanie po raz pierwszy w czasie tego obiadu.

Gospośnia podała kawę i koniak. Paweł z upodobaniem oglądał meissenowskie filiżanki.

- To był sympatyczny facet - powiedział Sobociński mrużąc oczy. - Lubiłem go i on mnie chyba darzył sympatią. Sprawiał wrażenie, że zna się na swoim fachu.

- Nie zgrywaj się, Andrzeju - powiedziała pani Jadwiga. - Pan Wert... chyba dobrze usłyszałam nazwisko? Pan Wert nie był podobno przyjacielem Branieckiego, więc nie musisz udawać. Nie lubiłeś go. Od kiedy on tu przyjechał Nowakówna nie chciała na ciebie nawet spojrzeć. Musi pan wiedzieć - zwróciła się do Pawła - że nasz Sobociński kocha się bez...

- Jadwigo! - uciął stanowczo Zajączkowski.

- Przecież ja tylko żartuję. Andrzej się na mnie nie gniewa, prawda?

Sobocińskiemu ze złości zaczęła drgać powieka.

- Czy to prawda, że państwo byliście jedynymi ludźmi, którym Braniecki opowiedział o swoim odkryciu? - Paweł spróbował rozładować nieprzyjemną sytuację.

- Oprócz nas był jeszcze proboszcz i weterynarz Nowocień, który jest teraz z żoną w Bułgarii. A dlaczego to pana interesuje? - Sobociński z trudem się opanował.

- Może jesteś mścicielem wytypowanym przez klan historyków sztuki - zaśmiał się Toboła.

Paweł nie podjął dowcipu.

- A czy ktoś z państwa mówił o tym odkryciu komuś w miasteczku?

- No wie pan. Ja i mój mąż nigdy nie opowiadamy o nie swoich sprawach - oburzyła się żona cukiernika.

- Sprawy mnie powierzone nigdy jeszcze nie dotarły do niepowołanych uszu - oznajmił rejent Korda poprawiając krawat.

- A pan, panie doktorze?

- Ja nic, chyba nie. - Doktor potarł czoło w zamyśleniu. - Interesuję się sztuką i tak przeżyłem to odkrycie, że nawet śniłem o nim. Nie mogę sobie przypomnieć, czy komuś się nie wygadałem.

- Takie rzeczy trzeba pamiętać - oznajmił stanowczo Toboła. - Ja też miałem ochotę opowiedzieć w Ostrowie inżynierowi Kenigowi, ale powstrzymałem się od tego. To są zbyt poważne sprawy.

- Jeśli mówię, że chyba nie wspomniałem o tym, to dlatego, że chcę być uczciwy wobec siebie -

powiedział ostro doktor.

- Ja, jak już wspomniałem zresztą w śledztwie, rozmawiałem o tym z Martą. Byłem pewny, że Braniecki jej pierwszej opowiedział o swoim odkryciu. - Sobociński zapalił papierosa.

- Mogła też usłyszeć Józefowa, nasza gosposia. O ile wiem, milicja przesłuchiwała ją dość długo - powiedziała doktorowa.

- Czy jest możliwa sprzedaż skradzionej Madonny za granicą? Pan jest przecież fachowcem - zwrócił się do Pawła rejent Korda. - Tyle się ostatnio słyszy o próbach przemykania skarbów naszej kultury.

- Szansa jest znikoma. Służba graniczna i celnicy są na to szczególnie uczuleni, ale nawet gdyby jakimś cudem udało się wywieźć figurkę, to i tak sprzedaż byłaby jeszcze trudniejsza. Żaden poważny i dobrze płacący kolekcjoner czy antykwariat nie kupi czegoś takiego bez sprawdzenia rodowodu. Zresztą na ten temat może więcej wie pan doktor.

- Ja? Dlaczego ja? Jeszcze nigdy nie zawierałem transakcji z cudzoziemcami - obruszył się Detyniecki.

- Tak, ale sprzedaż dzieł sztuki w kraju jest oparta chyba na podobnych zasadach.

- Wydaje mi się, że milicja wyraźnie pokpiła sprawę. Kiedy skończę studia, chciałbym zająć się kryminalistyką, a wtedy niech się strzegą przestępcy! - perorował Filip z zapalem. - Od jutra zacznę rozwiązywać tę zagadkę i kto wie, czy już niedługo nie zadziwię państwa odkryciem winnego.

- Tylko od jutra, młodzieńcze, radzę być ostrożnym, żeby nie skończyło się to nowym nieszczęściem - zauważył spokojnie Sobociński wkładając do ust dużą porcję ciasta.

Temat ten nie był widocznie przyjemny, bo atmosfera wyraźnie się oziębła. Tylko Korda próbował dowcipkować, opowiadając kawały równie stare jak on.

Paweł wychodził razem z Zajączkowskimi. Przy pożegnaniu pani Jadwiga powiedziała:

- Będzie nam bardzo miło, jeżeli nas pan odwiedzi. Mieszkamy tam, pod osiemnastym, ta biała chałupka. - Jej palec wskazywał na pretensjonalną, bogato zdobioną willę. - Jestem w domu przed południem Przyrządzam znakomite galaretki, palce lizać. Zresztą sam pan się przekona. - Spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział Paweł patrząc przy tym na cukiernika.

- Oczywiście, niech pan wpadnie - potwierdził zaproszenie Zajączkowski ulegając stanowczemu spojrzeniu żony.

- Wie pan, do dzisiaj nie mogę zrozumieć, co robił ten Mercedes z zagraniczną rejestracją przed domem doktora w przeddzień morderstwa - powiedziała pani Jadwiga podając Pawłowi rękę do ucałowania.

Przechodząc obok żółtego domu na rynku Paweł spojrział na zegarek. Nie było jeszcze zbyt późno, więc postanowił odwiedzić Martę Nowak, o której względy tak bezskutecznie starał się Sobociński i która dla Branieckiego znaczyła może więcej niż inni.

W ciemnej sieni, cuchnącej gotowaną kapustą, było troje drzwi i drewniane schody prowadzące na piętro. Nigdzie nie widać było listy lokatorów, zapukał więc do pierwszych z brzegu. Wyrzała siedmioletnia może dziewczynka. Spytał o nauczycielkę. Dziecko patrzyło na niego, jak gdyby nie rozumiejąc, co się do niego mówi. Powtórzył pytanie i wtedy zza szafy przegradzającej pokój wyrzała kobieta.

- My tu od niedawna mieszkamy, mała nie zna wszystkich - powiedziała. - Pani nauczycielka mieszka na piętrze, takie drzwi ze skrzynką na listy.

Schody skrzypiały niemiłosiernie. Otworzyła mu ta sama dziewczyna, którą widział z okna gospody. Wysoka, w szarym, zbyt luźnym swetrze, wyglądała na sportsmenkę wypoczywającą po treningu.

- Pan do kogo? - spytała nie wpuszczając go do środka.

- Pani Marta Nowak?

Nastąpiła cisza i Paweł zrozumiał, że nie tak łatwo jest dostać się tutaj do środka.

- Jerzy dużo opowiadał mi o pani. - Dziewczyna zdawała się nie reagować na jego słowa. - Nazywam się Wert, przyjechałem na jego miejsce.

Dopiero teraz twarz dziewczyny drgnęła i jej ręka zwolniła kłamkę.

- Niech pan wejdzie.

Wprowadziła go do małego schludnego pokoju. Było tu dużo książek porozrzucanych wszędzie. Przy ścianie stał mały tapczanik nakryty kolorową cepeliowską narzutą. Na nim, na samym środku, spał duży czarny kot, który nawet nie zareagował na wejście obcego.

Paweł usiadł na podsuniętym krześle.

- Po co pan przyszedł? - Pytanie zabrzmiało dość ostro.

- Jak powiedziałem, pracuję tu teraz zamiast Jerzego. Byliśmy kolegami, mówił mi o pani. Chciałem więc panią poznać i myślałem także, że pani coś wie.

- O czym?

- O morderstwie.

- Już panu mówili, że to ja? Paweł popatrzył na nią zdziwiony.

- Ludzie tu tak mówią. Z zazdrości go miałam zabić, o żonę. A ja go tak kochałam. Był naiwny, myśląc, że ja o niczym nie wiem. Ja go po prostu kochałam. Był dla mnie ucieczką od tego wszystkiego tutaj. Nienawidzę tego miasta - głos jej się załamał. - Ja już tego dłużej nie wytrzymam!

Zakryła twarz rękami. Łzy płynęły poprzez palce. Pawłowi zrobiło się żal tej samotnej dziewczyny. Wstał i delikatnie pogłaskał ją po głowie. Nie odsunęła się. Stopniowo się uspokajała.

- Przepraszam pana, płaczę od tego czasu po raz pierwszy. - Wstała. - Napije się pan herbaty?

- Dziękuję, pójdę już, chciałem panią tylko poznać. Przyjdę jutro po południu, jeżeli można, jeszcze raz. Porozmawiamy. A teraz proszę się położyć i zasnąć. Wszystko będzie dobrze.

- Tak pan myśli? - spytała cicho.

Paweł wyszedł wściekły na siebie.

Słowa pociechy na nic się nie zdadzą.

Na Kościelnej zauważył starego kulejącego mężczyznę, spacerującego przed jego domem. Przypomnił sobie, że widział go już rano. Przyjrzał mu się uważnie, tamten speszył się wyraźnie, odwrócił i kulejąc oddalił się spieszenie, odwracając co jakiś czas. Paweł wszedł do mieszkania.

Nazajutrz obudził się z bólem głowy. Całą noc śniło mu się, że jest jedynym usługującym w ogromnej sali, w której siedzieli miejscowi notable na obiedzie wydanym przez doktora.

Było jeszcze bardzo wcześnie. Pierwsze kroki postanowił skierować do plebanii. Umył się w dużej emaliowanej miednicy i założył jasną koszulę. Rozmyślając o czekającej go rozmowie z księdzem wyciągnął z kieszeni papierosa. Kiedy podnosił już płonąca zapałkę, przypomniał sobie, że jeszcze nic nie jadł, a już od dwóch lat obiecywał sobie nie palić na czczo. Filiżanką herbaty na pewno oszuka żołądek. Włączył grzałkę. Do pokoju wsunęła głowę Zafłokowa. Kiedy Paweł ze smakiem zajadał jajecznicę, dało się słyszeć pukanie w szybę.

Przełykając kęs bułki, podszedł do okna i otworzył jedną połowę. Na chodniku stał ładny kilkunastoletni chłopiec.

- Dzień dobry. Przysłała mnie pan rejent Korda, który bardzo prosi, żeby go pan jak najszybciej odwiedził. To bardzo ważna sprawa - wyrecytował.

- Gdzie mieszka pan Korda?

- To bardzo blisko. Trzeba iść nie do rynku, a w drugą stronę, za miasto. O, jakieś sto metrów za tym mostkiem. - Wskazał ręką w stronę ulicy, gdzie rząd domów był rzadszy. - Ten dom nie ma numeru. Jest ostatni. - Ukłonił się Pawłowi i odwracając się na pięcie pobiegł przed siebie.

Paweł dokończył śniadania, włożył kurtkę, sięgnął po nieodłączną torbę na ramię i poszedł we wskazanym kierunku. Wkrótce ulica się skończyła. Przeszedł przez mostek nad wyschniętą rzeczką. Zamiast stu, szedł jeszcze ze. trzysta metrów.

Ostatni dom w niczym nie przypominał innych budynków w miasteczku. Był to dworek budowany w początkach wieku, stylizowany na szlachecką rezydencję. W miarę bogacenia się kolejnych właścicieli dom poszerzano, zapewne z myślą o dodaniu mu splendoru. Nic więc dziwnego, że efekt był opłakany. Ostatni właściciel najwidoczniej zaniedbał wszelkich wysiłków inwestycyjnych, zapominając o tradycji.

Paweł przeszedł przez mały dziedziniec, na którym poniewierały się wszystkie rupiecie niepotrzebne w domu. Pod nogami plątał mu się wychudzony pies, który przy tej pogodzie nie przejawiał ochoty do szczekania. Nie zdążył zapukać, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Korda. Był w wiśniowej bonzurce, pod szyją miał zawiązany barwny fular. Jego szczupła twarz, teraz z nie ogolonym zarostem, miała cierpiętniczy wygląd.

- Bardzo proszę, niech pan wejdzie. - Zamykając drzwi rozejrzał się bacznie po dziedzińcu.

Przeszli przez obszerną, nie umeblowaną sień. Na ścianach wisiały liczne rogi nie wiadomo przez kogo ubitej zwierzyny. Korda wprowadził Pawła do gabinetu zawalonego stosami broszur i pism

- Dziękuję, że pan zechciał przyjść. Na pewno wydało się panu dziwne to poranne zaproszenie. Proszę, niech pan spocznie. - Wskazał Pawłowi fotel obity aksamitem. - Choć znamy się dopiero od wczoraj, mam do pana pełne zaufanie. Może dlatego, że jest pan tu obcy. No i podobało mi się to, co pan wczoraj mówił. Dlatego chciałbym pana prosić o radę.

Paweł przyglądał mu się uważnie. Korda sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Nie chciałbym z tą sprawą tak od razu iść na milicję... - Rejent urwał.

- A pańscy przyjaciele?

- To się tylko tak ładnie mówi, ale gdybym komukolwiek powiedział, rozniosłoby się natychmiast.

- Ale o co chodzi?

- Niech pan sobie wyobrazi, dzisiaj o szóstej obudził mnie dźwięk tłuczonej szyby. Kiedy doskoczyłem do okna, zauważyłem sylwetkę uciekającego dzieciaka, a na podłodze leżał kamień owinięty tym papierem. Proszę, niech pan przeczyta.

Paweł wziął do ręki pieczołowicie rozprostowaną kartkę, wydartą ze szkolnego zeszytu. Czerwonym flamastrem, starannie drukowanymi literami napisano:

**MORDERCO I ZŁODZIEJU! JEST KTOŚ. KTO WIE O TWOICH PLUGAWYCH CZYNACH!  
ODPOWIESZ ZA NIE!**

- I co pan o tym sądzi? - spytał Korda niecierpliwie.

- To na pewno nieprawda.

- Co nieprawda?... To, że jestem mordercą?

- Przecież się pan nie poczuwa do winy.

- No wie pan! Ale co mam z tym zrobić? Przyznam się, że się bardzo tym zdenerwowałem. Mnie, starego człowieka, mieszać w takie rzeczy! Ten, kto to napisał, powinien trafić do kryminału.

- Ma pan rację i gdyby się historia powtórzyła, radzę zwrócić się z tym natychmiast do milicji.

- Tak, chyba jednak będę musiał to zrobić.

- A czy podejrzewa pan kogoś?

- Tu złośliwców nie brakuje, ale żeby posunąć się aż tak daleko... To mogła zrobić tylko jedna osoba.

- Bardzo jestem ciekaw, kogo pan ma na myśli.

- Mogła to zrobić tylko Firasowa, właścicielka sklepu galanteryjnego.

- To dziwne, bo ja także czułem w tym kobiecą rękę. Tylko jakie powody mogłaby mieć ta pani?

- O, to dłuższa historia, ale opowiem ją panu gwoli przestrogi.

Paweł poprawił się w fotelu.

- Otóż ta pani przyjechała do Piaskowej Góry trzynaście lat temu. Ja już wtedy byłem wdowcem, a ona prowadziła interes z mężem. Był to wspaniały człowiek, w niczym nie przypominający sklepikarza. Kiedy zmarł dwa lata temu, głupiej babie wydało się, że może się za mnie wydać. Zaczęła mnie nachodzić, przysyłać znajomych; obiecywała złote góry, chciała odrestaurować tę budowlę. - Korda zatoczył ręką koło.

- I nie zdecydował się pan?

- No, młody człowieku, trudno, żebym się sprzedał takiej starej babie. Przecież ona jest zaledwie o dwa lata młodsza ode mnie.

Paweł taktownie nie spytał, ile lat mogłaby liczyć ewentualna oblubienica.

- Zresztą ostatecznie nie o sam wiek mi chodzi - dodał Korda - ale ona jest synonimem skąpstwa. Wszyscy w miasteczku się z niej śmieją. Nie kupi sobie nawet telewizora. Tu chodzi ubrana jak dziadówka i tylko raz w roku, kiedy jeździ do syna do Warszawy, wyciąga schowane futro karakułowe i paraduje do kosmetyczki. Tu ludzie już od dawna o tym wiedzą i śmieją się z niej naokoło. I takiej kobiecie wydawało się, że może na stare lata nosić moje nazwisko. - Korda poprawił fular pod szyją.

- A jak ta pani przyjęła pańską odmowę?

- Ponieważ była bardzo nachalna, moja odmowa, przyznam, nie była zbyt grzeczna. I okazało się, że uraziłem jej ambicję, jeżeli można tu w ogóle mówić o ambicji. Od tego czasu to babsko robi wszystko, żeby mi zatruć życie. Powiem panu, że - może prócz nekrofilii - nie ma zboczenia, którego by mi nie przypisała. Do tej pory nie przejmowałem się tym, jednak teraz przebrała miarę.

- Przecież w te rewelacje nikt nie wierzy.

- Ale jak napisze taki anonim do milicji, to oni mogą wziąć te bzdury pod uwagę i zaczną mnie tu nachodzić...

- Ma pan coś do ukrycia?

- Nie, skąd, ale to zawsze nieprzyjemne, kiedy się człowiekiem za bardzo interesują.

- Myślę, że to nie ma znaczenia. - Paweł starał się zbagatelizować całą sprawę.

Korda jakby nie słyszał.

- Jednak pójdę z tym na milicję. Lepiej nie dać się zaskoczyć.

- Może pan ma rację. - Paweł wstał. - A jak pan sądzi, czy to możliwe, żeby Branieckiego zamordował ktoś z grona gości doktora Detynieckiego?

- Nie, to niemożliwe. Skąd panu to przyszło do głowy? Chyba, że... - zastanowił się - motyw byłby inny niż rabunek.

- Na przykład?

- No, na przykład zazdrość albo coś w tym stylu.

- Myśli pan o Sobocińskim?

- Nie wiem, ale słyszałem, że kiedy się zdenerwuje, to wpada w szal.

Paweł, zbierający się już do odejścia, zatrzymał się jeszcze.

- O, widzę, że pan ma tutaj dużą kolekcję pocztówek. Ja też kiedyś zbierałem. - Wskazał na biurko.

- Ja nie jestem zbieraczem, po prostu przysyła mi je ktoś z rodziny - powiedział szybko Korda. - Jeszcze raz dziękuję, że pan zechciał przyjść. Liczę na pańską dyskrecję.

Po tej wizycie Paweł skierował się na plebanię. Słońce prażyło coraz bardziej. Zastał księdza pracującego w ogrodzie przy podcinaniu żywopłotu. Usiedli na białej ławce. Proboszcz ocierał pot dużą kraciastą chustką.

- Wysięk fizyczny to rzecz ważniejsza niż wszystkie lekarstwa. A później prysznic.



Gwarantowane długie życie, trzeba przecież jakoś pomóc Panu Bogu. Ale co u pana? - Ksiądz spojrział na Pawła z sympatią.

- Przyszedłem wypowiadać się księdzu proboszczowi z pewnej nielojalności wobec niego.

Ksiądz pochylił głowę słuchając.

- Prawdziwy konserwator przyjedzie dopiero w przyszłym tygodniu.

Ksiądz spojrział zdziwiony.

- Jestem oficerem milicji, prowadzę śledztwo w sprawie tego morderstwa. Kuria i urząd konserwatorski zostały powiadomione o tej chwilowej mistyfikacji. Jestem z wykształcenia historykiem sztuki, więc tym łatwiej mogłem wczuć się w rolę. Proszę mi więc wybaczyć...

Ksiądz milczał przez chwilę.

- Jeżeli sprawa została uzgodniona z moimi władzami, to ja nie mam nic do powiedzenia.

Paweł uśmiechnął się.

- Jeżeli więc ksiądz zechciał mi darować, to prosiłbym o chwilę rozmowy w tej sprawie. Czy zauważył ksiądz coś szczególnego w zachowaniu Branieckiego?

- Nie, nic.

- A może ksiądz sobie coś przypomni.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Proboszcz nadal ocierał sobie chustką twarz, mimo że była już sucha.

- Był w znakomitym humorze, dużo pracował.

Paweł zrozumiał, że niełatwo mu będzie coś z niego wyciągnąć.

- Czy Braniecki był rozmowny, a może nawet gadatliwy?

- Nie. To znaczy niespecjalnie. Lubił tylko opowiadać, jaki to rozgłos zdobył miasteczko i nasz kościół.

Ciągłe ocieranie potu przez księdza zaczynało już być groteskowe.

- A czy nic szczególnego nie zdarzyło się u jego znajomych, z którymi spotykał się na obiadach u doktora Detynieckiego?

- Raczej nie.

Paweł zrozumiał, że musi sam wszelkimi sposobami podtrzymać rozmowę.

- Nie chcę na księdza zbyt nalegać, ale przecież w znalezieniu mordercy zbiegają się intencje milicji i Kościoła. A 1 sprawiedliwości boskiej trzeba czasami pomóc.

Ksiądz odłożył chustkę na ławę. Siedział nieruchomo, jakby coś sobie przypominał.

- Jedno mnie trochę zdziwiło... - zaczął wolno, ale przerwał, jakby brakło mu przekonania.

- Słucham.

- Ale to chyba nieważny drobiazg. - Proboszcz się zawahał.

- Wszystko, co dotyczy tej sprawy, może okazać się ważne.

- Na kilka dni przed tragedią odwiedził naszego Branieckiego pan Kowalewski, miejscowy stomatolog.

- No właśnie. Ale cóż w tym fakcie może być szczególnego?

- Pan się dziwi, dlaczego o tym mówię? Po prostu, o ile wiem, dentysta nie znał Branieckiego. Sam jest nieprzychylnie nastawiony do doktora, a tym samym i do jego przyjaciół. Nie było w tym może nic dziwnego, gdyby to Braniecki odwiedził dentystę. Ostatecznie zęby mogą rozboleć każdego. Ale tu nagle Kowalewski przychodzi do Branieckiego i konferują dwie godziny.

- Tuk, to rzeczywiście trochę dziwne. Dziękuję bardzo za tę informację. Gdyby się coś jeszcze księdzu przypomniało, to proszę mnie zawiadomić; zresztą będziemy w kontakcie.

Pożegnali się, lecz Paweł po dwóch krokach odwrócił się.

- Jeszcze jedno: Czy do czasu przyjazdu właściwego konserwatora będę mógł mieszkać w obecnej kwaterze?

- Oczywiście, będzie to zaszczyt dla nas. - Proboszcz uśmiechnął się szeroko.

Paweł szedł w stronę rynku, myśląc o wcale nie najgorszym słuchu i spostrzegawczości pani Zatlókowej.

W każdy pierwszy piątek miesiąca, w Piaskowej Górze odbywał się targ. Paweł nie wiedział o tym zwyczaju i zdziwiła go liczba furmanek stojących jedna za drugą na Kościelnej. Senny zazwyczaj rynek, teraz cały zastawiony kramami, między którymi kręcił się tłum ludzi, zmienił się nie do poznania. Miejscowi mieszały się z mieszkańcami okolicznych wsi, którzy przybyli licznie, aby sprzedać własne produkty lub kupić najpotrzebniejsze rzeczy. Młode panny chodziły dumnie po dwie, po trzy, nie rozglądając się na boki. Oczy im błyszczały na widok kolorowych świecidełek rozłożonych na straganach grubych handlarek. Najwięcej jednak dziewczęcych spojrzeń ścigały kolorowe fotosy gwiazd filmu i estrady.

Przez tłum przeciskał się brodaty młody człowiek z bujną czupryną.

Paweł sam miał ochotę zatrzymać się przed starym chłopem sprzedającym drewniane, misternie rzeźbione łyżki i naczynia. Brnął jednak wytrwale w kierunku komisariatu, chcąc zdążyć na umówione spotkanie z komendantem Wiedział, że dzień targowy nic jest na pewno dniem odpoczynku dla miejscowej milicji. Muszą się chłopcy dwoić i troić, pomyślał.

Kiedy wszedł na chodnik, kątem oka dostrzegł starego człowieka, który szedł kulejąc w stronę Kościelnej. Był to ten sam mężczyzna, który kręcił się wczoraj wieczorem przed jego domem.

Komisariat znajdował się na ulicy Warszawskiej. Kiedy Paweł wszedł do środka, przed barierką stał chłop z twarzą opaloną na czerwono, od której odbijał biały pasek górnej części czoła. W ręce trzymał czapkę i kolorowy pleciony bat. Podniesionym głosem opowiadał dyżurnemu, że złodziej wykorzystał chwilę jego drzemki na wozie i skradł mu wszystkie pieniądze przeznaczone na zakup cielęcia. W kącie stała jego żona zawodząc rozpaczliwie i wymyślając mężowi od pijaków i niedołęgów.

Milicjant na widok Pawła wyprężył się i na pytanie o komendanta bez słowa wprowadził go za barierkę.

Koledzy są dobrze poinformowani, zauważył w myśli Paweł.

W pokoju komendanta zastał potężnego mężczyznę w rozpiętym mundurze. Przed nim na stole leżały dwie teczki z aktami.

- Porucznik Wert z Komendy Głównej.

- Starszy sierżant Kujawiak. Czekałem na was, poruczniku.

Uścisnęli sobie ręce.

- Jak się udała akcja?

- Myślę, że coś niecoś zobaczyłem i usłyszałem. Od dzisiaj będę, jak wiecie, prowadził tu śledztwo opierając się na materiałach powiatówki. Przede wszystkim, jeśli pozwolicie, zawiadomię Warszawę o pierwszym rozeznaniu.

Kiedy Wert rozmawiał z majorem Balińskim, Kujawiak dostał meldunek o wypadku drogowym, który wydarzył się o dwa kilometry od miasta. Wysłał tam swoich ludzi i zamówił kawę dla gościa.

- Dostanę jakieś biurko? - spytał Paweł. - Taszczyłem dwa tomy materiałów i ciągle się bałem, że ktoś do nich zajrzy.

- Tak, to biurko pod oknem jest wolne.

Paweł włożył do szuflady przywiezione akta. Czytał je kilkakrotnie, a teraz znał już większość ludzi, których zeznania były tu zanotowane. Tylko Marta Nowak, najmniej mówiąca o innych, powiedziała coś o sobie. Dlaczego nie przesłuchano dentysty? Czyżby o jego wizycie wiedział tylko ksiądz i pani Zatłokowa?

- Miałem telefonogram o zatrzymaniu Waśki - przypomniał sobie Kujawiak.

- Gdzie go znaleziono?

- Złapano go w Gdańsku. Madonny przy nim nie znaleziono.

- Kiedy będzie w Piaskowej Górze?

- Dostarczą go jutro. Będziecie chcieli go przesłuchać?

- Tak, oczywiście.

- Czy wypiszemy jakieś wezwanie? - Komendant przerwał milczenie.

- Nie - zaprzeczył Paweł - to ja będę im się naprzykrzał.

- Tak będzie na pewno lepiej dla dobra śledztwa - przytaknął Kujawiak.

- Idę teraz do Ośrodka Zdrowia. Ale powiedzcie mi jeszcze, co to jest za facet: pod siedemdziesiątkę, mocno kuleje, w welwetowej marynarce.

- To stary Borowicz.

- Czym się zajmuje?

- Jest woźnym w tutejszej szkole; podobno przed samą wojną zaczął studia polonistyczne.

- Od dawna kuleje?

- To stary żołnierz. W czasie obrony Modlina został poważnie ranny i od tego czasu coś u niego... - Komendant znacząco stuknął się w skroń. - A jak z kwaterą - zapytał serdecznie. - Zapraszam do siebie. Mamy pokoik gościnny. Żona się ucieszy.

- Dziękuję, ale na razie wolałbym mieszkać na Kościelnej.

- Jak chcecie. W każdym razie w niedzielę będziemy czekać z obiadem.

- Oczywiście przyjdę. Wstąpię teraz do dentysty, przy okazji wyleczę ząb. Wrócę za jakieś dwie godziny.

Kiedy wyszedł, okradziony chłop gramolił się na wóz, klnąc jeszcze pod nosem.

Na rynku był już mniejszy ruch. Jacyś opaleni wczasowicze kupowali słomkowe kapelusze od handlarza rozpartego na fotelu w montowanym ze stojącej obok starej, odrapanej Skody.

Ośrodek Zdrowia był w remoncie i wchodziło się do niego bocznym wejściem. Młoda rejestratorka uśmiechnęła się zalotnie na widok młodego, roztargnionego człowieka, który złapał za klamkę jednych drzwi, przeczytał tabliczkę na drugich, a w końcu podszedł do jej okienka.

- Czy lekarz dentysta, Witold Kowalewski, jeszcze przyjmuje?

- Tak, dzisiaj do szesnastej. Ma pan książeczkę?

- Nie przy sobie. Ząb mnie boli coraz bardziej, jestem tu przejazdem. Może doktor zgodzi mi się pomóc prywatnie?

- No dobrze, są jeszcze dwie osoby x numerkami, a później proszę spytać lekarza, czy pana przyjmie.

Paweł siedział w poczekalni wpatrując się jak zahipnotyzowany w plakat przedstawiający barokowego aniołka bez nosa i przestrzegający przed przypadkowymi kontaktami.

- Pan do mnie?

Nie zauważył, kiedy otworzyły się drzwi i wyjrzał zza nich ogromny mężczyzna w białym fartuchu.

Gdy Paweł wszedł, lekarz wskazał mu fotel. Był jeszcze dość młody, mógł mieć około trzydziestki. Pomimo solidnej wagi sylwetkę miał prężną i wysportowaną. Prawie białe włosy nad czołem były lekko przerzedzone.

- Który ząb pana boli?

- Prawa dwójka u góry, wczoraj podczas obiadu wypadła mi plomba.

Maszyna borująca terkotała głośno. Ruchy dentysty były sprawne i zdecydowane.

- Mały ubytek. Dziwne, że już pana zabolalo. Zaraz założymy plombę. Powinien pan prześwietlić także dolną szóstkę: wygląda niewyraźnie.

- Czy pan znał Jerzego Branieckiego?

Spojrzał prosto w nachyloną twarz dentysty. Nie drgnął w niej ani jeden mięsień.

- Tak, znałem. Proszę nie zamykać ust, przygotuję podkład.

Paweł, unieruchomiony w fotelu, wyglądał przez wychodzące na podwórze okno, za którym koło trzepaka bawiły się dzieci. W końcu dentysta ukazał się w polu widzenia.

- No, zakładamy.

Cała operacja trwała niedługo. Potem Paweł siedział kilka minut z otwartymi ustami, czekając, aż plomba wyschnie. Kiedy wstawał z fotela, lekarz wskazał mu krzesło.

- Słucham, czego chciałby się pan dowiedzieć?

- Jestem z milicji, prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania Branieckiego.

- Wiem.

- Skąd pan wie?

- Tu ludzie wszystko wiedzą.

- Ale konkretnie: kto panu powiedział?

- Pacjentka, pani Nowak, tutejsza nauczycielka.

Paweł pomyślał, że nie docenił inteligencji mieszkańców miasteczka.

- Proszę mi powiedzieć, skąd pan znał Branieckiego.

- Znałem go jeszcze ze studiów w Lublinie. Był czas, że kochaliśmy się w jednej dziewczynie, on się zresztą z nią później ożenił. To już ładnych kilka lat temu.

- A tutaj? Dlaczego tutaj nie utrzymywaliście kontaktów? Ludzie myśleli, że się nie znacie.

Lekarz wahał się chwilę z odpowiedzią.

- Rozmawialiśmy kilka razy w przelocie, każdy z nas miał dużo pracy. A on był szczególnie pracowity.

- Jednak nikt z miasteczka nie zauważył, żebyście się znali.

- Powiem prawdę. Myślałem, że wszystko inaczej się ułoży. Ale on po przyjeździe wdał się w towarzystwo tego kacyka. A ja, muszę przyznać, nie przepadam za nim.

- Mówi pan o doktorze Detynieckim?

- Tak, właśnie o nim.

- Przeważnie tacy ludzie jak pan i on należą do jednego kręgu towarzyskiego. Skąd więc taka animozja?

- Po prostu nie znoszę takich typów... Jest w nich coś fałszywego. Kiedy tu przyjechałem, miałem szansę dostać się do tego towarzystwa wzajemnej adoracji, ale zawsze mówię, co myślę, a tam nie jest to przyjęte. Więc zrezygnowałem.

- Czy to odsunięcie się nie przeszkadza panu w codziennym życiu?

- Na początku może tak, teraz przyzwyczałem się.

- Strasznie tutaj nudno. Co pan robi z wolnym czasem?

Kowalewski uśmiechnął się.

- Dużo czytam.

Paweł odwzajemnił uśmiech.

- Po prostu nadrabiam braki, oprócz tego łowię ryby, pływam...

- I dobrze się pan tutaj czuje? Lekarz zamyślił się. Na jego twarzy pojawił się cień smutku.

- Popracuję tu jeszcze kilka lat i wracam.

- Przez te kilka lat może pan przywyknąć do miasteczka.

- Liczę się z taką ewentualnością, ale znając siebie - wątpię.

- W ciągu kilku lat pogodzi się pan z Detynieckim, zacznie u niego bywać i będzie panu tutaj coraz milej.

Kowalewski obruszył się.

- Ja z Detynieckim nie znajdę wspólnego języka - rzekł wzburzonym głosem. Po chwili dodał jakby dla usprawiedliwienia: - Wbrew pozorom nieprzyjaciół Detyniecki ma tutaj sporo.

- A przecież na pierwszy rzut oka robi tak dobre wrażenie.

- To wszystko złudzenia. Na fotelu ludzie opowiadają mi swoje żale, szukając we mnie bratniej duszy.

Lekarz zamilkł na chwilę, Paweł podjął wątek:

- Gadatliwość ludzi rzeczywiście może być męcząca.

- Chcę mieć spokój i tylko spokój! - Głos lekarza zadrżał lekko.

- Po co więc pan poszedł co Branieckiego na kilka dni przed jego śmiercią?

Przez twarz dentysty przebiegł skurcz.

- Zaskoczył mnie pan. A powinienem wiedzieć, że w tym cholernym miasteczku nic się nie ukryje.

Zamilkł i znów podjął po chwili:

- Bałem się po prostu o niego. Był inteligentny, ale przecież naiwny. Opowiadał ludziom o figurce i trzymał ją w domu. Bałem się o niego. Był jednak moim kolegą.

- Teraz, po tym morderstwie, wiadomo, że miał pan rację. Skąd jednak wiedział pan o tej

rzeźbie i jej wartości?

Dentysta zaśmiał się.

- Powiedziała mi o tym pacjentka. Tym razem była to żona właściciela cukierni - pani Zajączkowska.

- Czy ludzie orientowali się, jaka jest wartość tej figurki?

- Sądzę, że tak, ale to naród religijny. Nikomu nie przyszyłoby do głowy kraść własność kościelną.

- A ten Waško, który wtedy uciekł?

- Bzdura. Rąbnąć kogoś przy piwie, wyjąć młodszemu dwie dychy na wino - tak, na to go stać. Ale na taką kradzież nie dostawało mu inteligencji.

- Jak Braniecki przyjął pańskie ostrzeżenie?

- Raczej zbagatelizował je.

- Czy jest pan tego pewien?

- Potrafił mówić tylko o Madonnie. Rzeczywistość nie docierała do niego.

- Czy długo pan wtedy u niego był?

- Wypiliśmy po jednej wódce i poszedłem do domu.

Widać było, że z trudem hamuje rozdrażnienie.

- Dlaczego nagle uznał pan, że warto go ostrzec?

- Nie, to nie było ostrzeżenie, zwyczajna ludzka ostrożność... jak przy przechodzeniu przez ulicę.

- Morderstwo popełniono o trzeciej nad ranem. Czy mógłby pan sobie przypomnieć, co robił pan tej nocy?

- Spałem do drugiej, później pojechałem na ryby. Siedziałem nad rzeką do ósmej. Od dziewiątej zaczynam przyjmowanie pacjentów.

- Widział ktoś pana?

- Czy mam alibi, co? Chyba nie. Mam swoje miejsce, gdzie łowię sam. Kiedy jednak wracałem, musiał mnie ktoś widzieć, a właściwie słyszeć. Na ryby jeżdżę motorowerem. To stary Simpson, robi trochę hałasu.

- Czy podejrzewa pan kogoś?



- Nie, nikogo. Nie mam pojęcia, kto to mógł zrobić, Staram się jak najmniej interesować tutejszymi ludźmi.

- Dziękuję, to na razie wszystko. Gdyby jutro przed dziewiątą chciał pan wpaść do komisariatu, to spiszę wszystko, a może przypomni sobie pan coś jeszcze.

- Dobrze, przyjdę rano.

- Do widzenia.

Paweł zamknął za sobą drzwi, zrobił trzy kroki w stronę wyjścia i wrócił do gabinetu. Lekarz już zdejmował fartuch i zrobił zdziwioną minę na jego widok.

Paweł uśmiechnął się przepaszająco.

- Co tej nocy udało się panu złowić? - zapytał.

- Tylko dwie małe sztuki. Wpuściłem je z powrotem

Paweł wyszedł na rozgrzany rynek. Po targu nie było już prawie śladu. Jeszcze tylko garncarz kończył ładowanie nie sprzedanego towaru do zielonego Zuka. Pomagała mu żona, ostrożnie nosząc gliniane donice. Starsza kobieta w czerwonej chustce zaczęła zamiatać sterty słomy i śmieci. Na środek placu wybiegli mali chłopcy z piłką.

Nagle usłyszał klakson samochodu milicyjnego, który jechał na pełnym gazie. Na widok Pawła kierowca zahamował gwałtownie. Z samochodu wyskoczył młody milicjant i biegł w jego stronę. Samochód z piskiem opon ruszył w stronę ulicy Kościelnej. Milicjant zdyszany dobiegi do Pawła.

- Zabito starego Borowicza.

Tłum ludzi stojący przed drewnianym domem niechętnie się rozstąpił. Przy drzwiach stał milicjant z paskiem pod brodą. Stary leżał w sieni, w kałuży krwi, ze zmiażdżoną czaszką. Chromą nogę miał podkurczoną pod siebie. W chwili kiedy zadano mu śmiertelny cios, szedł chyba po wodą: obok niego leżało przewrócone wiadro, z którego sączyły się resztki wody, zabarwiając się na różowo. Przy drzwiach poniewierała się zmięta i zakrwawiona gazeta.

Komendant nie miał zadowolonej miny.

- Powiatówka zawiadomiona? - spytał Paweł.

- Tak, zaraz będą.

Rzeczywiście po dwudziestu minutach przed domem zatrzymała się Nysa, z której wysiadła ekipa śledcza.

Kapitan Morski przywitał się ze wszystkimi. Był to niewysoki, przystojny mężczyzna, o twarzy zeszpeconej dużą blizną na prawym policzku.

- Najpierw ten konserwator, a teraz drugi Ciężki okres przechodziecie w Piaskowej Górze.

Kujawiak tylko machnął ręką z wyrazem przygnębienia na twarzy.

Nad zwłokami klęczał lekarz, zapisując w notesie swoje uwagi. Ekipa techników pracowała sprawnie. Paweł z przyjemnością przyglądał się tym ludziom, doskonale znającym swój fach. Pracowali w milczeniu, ostrożnie, aby nie zniszczyć żadnego śladu.

Błyskał flesz; fotografowano zwłoki L sień, w której dokonano morderstwa. Jeden z techników zdejmował ślady linii papilarnych z wielkiej staroświeckiej klamki drzwi. Zebrał pędzlem nadmiar proszku, wyjął z podręcznej walizeczki taśmę maskującą i obramował nią ślad. Potem wyjął pojemnik z płynem nylonowym w aerozolu. Trzymając go pionowo, rozpylał płyn, pokrywając cieniutką warstewką interesujące go miejsce.

Kapitan Morski i komendant z Piaskowej Góry stali z boku, rozmawiając półgłosem. Minęło kilka minut i płyn wysechł. Technik dochodzeniowy zdjął go wtedy delikatnie i umocował w sztywnym passe-partout, następnie schował do koperty. Później wziął na warsztat gazetę: był to dziennik wojewódzki dostępny w miejscowym kiosku.

Lekarz wstał ocierając kolana. Paweł zapytał:

- Kiedy nastąpił zgon?

- Prawdopodobnie w południe.

- A dokładniej?

- Dokładną godzinę trudno na razie ustalić. W tym upale zwłoki wolniej stygną.

- Czy zgon nastąpił od razu?

- Tak przypuszczam. Uderzony został ciężkim i obłym narzędziem.

- Czy cios był silny?

- Tak, cios musiał być silny.

- Kiedy będą dokładne wyniki?

- Jutro rano.

Zabierano zwłoki. Paweł patrzył na starego człowieka. Co miał mu do powiedzenia? Co wiedział o poprzedniej sprawie?

Drzwi prowadzące do mieszkania na parterze były zamknięte.

- Kto tutaj mieszka? - Paweł zadał to pytanie komendantowi.

- Józef Piwoński, wdowiec.

- Gdzie pracuje?

- Jest kolejarzem, bardzo często w drodze.

- A w domu?

- W domu jest zaledwie dwa razy w tygodniu.

Przeszli na piętro, które zajmował Borowicz. Otworzono drzwi kluczem znalezionym w kieszeni denata. Mieszkanie było bardziej niż skromne. Do siedzenia służył tylko jeden stołek, wsunięty teraz pod stół. Borowicz nie przyjmował żadnych gości. Wszędzie panował duży nieład. Nie zasłane łóżko odsłaniało czerwoną nie powleczoneą pierzynę. Na ścianie przy piecu wisiał oleodruk przedstawiający księcia Józefa Poniatowskiego z żałobną miną wskazującego do Elstery, a także dyplom uznania za wieloletnią pracę w szkole podstawowej nr 1 w Piaskowej Górze.

Paweł bez przekonania rozglądał się po mieszkaniu. Na wszelki wypadek polecił jednemu z ludzi, aby szczególną uwagę zwrócono na wszelkie ewentualne zapiski starego. Później opowiedział Morskiemu, w jakiej sytuacji spotkał Borowicza. Ten wysłuchał go z zainteresowaniem.

- Źle, żeście go nie ośmielili. Myślał na pewno, że jesteście kolegą zabitego, i chciał podzielić się z wami spostrzeżeniami, o których nie miał może ochoty mówić milicji.

Paweł też tak sądził. Był zły na siebie. Chciał, żeby stary dojrzał i żeby sam, bez zachęcania, mu wszystko wyśpiewał. Tymczasem Borowicz musiał podzielić się swymi wątpliwościami jeszcze z kimś i trafił akurat na mordercę.

Morderca był wyjątkowo bezwzględny. Jeżeli pierwszego zabójstwa dokonał w nocy w uśpionym miasteczku, to drugie popełnił w biały dzień, w najbardziej ruchliwy dzień targowy.

- Trzeba przepytac wszystkich mieszkańców sąsiednich domów, czy nie zauważyli czegoś podejrzanego. Jest to dla nas jedyna szansa - powiedział Morski.

- A także przeszukać okoliczne krzaki i ogrody: morderca musiał gdzieś wyrzucić narzędzie zbrodni. Nie wyszedł przecież na rynek z zakrwawionym łomem - dopowiedział starszy sierżant Kujawiak.

- Narzędzie zbrodni na pewno owinął w gazetę. Po zabójstwie wyrzucił gazetę - powiedział kapitan Morski.

Przesłuchano kobietę, Stefanię Wójcik, która znalazła Borowicza. Twierdziła, że poszła do niego, aby napisać jej podanie do urzędu melioracyjnego. Nic podejrzanego nie widziała. Była tak roztrzęsiona, że lekarz podał jej krople uspokajające. Po podpisaniu protokołu zwolniono ją do domu.

Paweł udał się do domu stojącego naprzeciwko, z balkonikiem oblepionym dzieciarnią i

królującą wśród nich matroną. Kiedy Paweł zadzwonił do furtki, towarzystwo z balkonu zniknęło jak zdmuchnięte. Otworzyła mu para zasmarkanych dzieciaków, które zaprowadziły go do matki, czekającej na niego w dużym pokoju na parterze.

- Pan z milicji? Co za niesłychana tragedia. Już drugie morderstwo na naszej ulicy. Człowiek nie może czuć się tu bezpiecznie. Ja mam dzieci w wieku szkolnym... - Nie dopuszczała Pawła do głosu.

- Pozwoli pani, że zadam kilka pytań - wtrącał, korzystając z przerwy, gdy nabierała oddechu. - Kiedy pani widziała ostatni raz Borowicza?

- Jak to kiedy? - zastanowiła się. - Dzisiaj o dziesiątej. Był przecież na targu.

- Czy coś kupował?

- Nie, on mało kupował.

- A czy często bywał na targu?

- Taki jak on, Panie świeć nad jego duszą, mało ma do roboty. Włóczył się po mieście, zawsze gdzieś zaglądał.

- A czy dzisiaj zachowywał się tak jak zwykle?

- A bo ja wiem, trudno tak odpowiedzieć.

- Niech pani sobie przypomni. To ważne dla śledztwa.

- Zdawało mi się, że się bardzo spieszył.

- Tak?...

- Nawet mi się nie uklonił, a przecież był to bardzo grzeczny człowiek; zawsze mi się kłaniał.

- I więcej nic pani nie spostrzegła?

- Nie, nic więcej.

- Od której godziny siedziała pani na balkonie?

- Naprawdę minutkę, ja nie należę do takich, co się nudzą i tylko w cudze okna patrzą.

- A na ulicę kiedy pani wyszła?

- Usłyszałam syrenę, więc chciałam się czegoś dowiedzieć. Ja tam nie mam czasu. Mąż jest prezesem Gminnej Spółdzielni i obiad musi być na czas.

Paweł pożegnał się. Ludzie Morskiego chodzili po okolicznych domach. Spotkali się wszyscy w komisariacie. Niestety, nikt z mieszkańców, których przepytano, nie zauważył, czy Borowicz z kimś

rozmawiał. Około godziny jedenastej wyszedł z targu i udał się do domu, skąd już więcej nie wyszedł.

Morski siedział przy nowym biurku Pawła i uzupełniał notatki przed napisaniem raportu. Paweł połączył się telefonicznie z majorem Balińskim Zwierzchnik - jak było do przewidzenia - kiedy poznał szczegóły sprawy, bardzo się zdenerwował. Ironicznie przypomniał Pawłowi, że już wykorzystał swój limit urlopowy, a wyjazd do Piaskowej Góry ma charakter służbowy. Paweł obiecał mu, że następnego dnia będzie mógł coś powiedzieć o postępach śledztwa.

Kiedy wyszedł na miasto, był wieczór. Zaprażył napić się mocnej herbaty i postanowił odwiedzić Martę Nowak. Kiosk „Ruchu” na rynku był jeszcze czynny. Kupił papierosy i zapalki. Ta sama kioskarka, która obserwowała go natarczywie, kiedy przyjechał, teraz nie była już taka śmiała. Szybko podała mu papierosy i wydała resztę. Jednak Paweł chciał z nią porozmawiać.

- Prowadzę tu śledztwo w sprawie zamordowania Branieckiego, jak pani już zapewne wiadomo.

Kioskarka przytaknęła głową.

- Dzisiaj zamordowano starego Borowicza, znała go pani?

- Tak, wszyscy go tutaj znali

Do kiosku podszedł mężczyzna z dyplomatką w ręce i Paweł musiał przerwać na chwilę rozmowę.

- Poproszę paczkę Klubowych. Mężczyzna mrugnął do kioskarki, a ona dyskretnie podała mu paczuszkę „Eros”.

Paweł ponownie przysunął się do okienka.

- Czy widziała pani dzisiaj starego Borowicza?

- Tak, szedł w stronę targu, potem wracał.

- Czy nie zauważyła pani, żeby z kimś rozmawiał?

- Proszę pana, jak mogłam zauważyć? Dzisiaj taki nieporządek, gazety przyszły z opóźnieniem, ludzie narzekają... Czasu nie było...

- O której godzinie otrzymała pani prasę?

- Było już po pierwszej.

Do kiosku podszedł następny klient. Paweł usunął się na bok i pomyślał, że ta błaża z pozoru rozmowa będzie dla śledztwa istotne znaczenie. Po chwili pożegnał się z kioskarką, ale kiedy odchodził, ta przywołała go jeszcze do siebie:

- Panie poruczniku, mam małą prośbę. Jest taka seria: „Ewa wzywa 07”. Dają mi tylko trzy egzemplarze, a ludzie tak się o to dopominają. Czy mógłby pan powiedzieć w zarządzie dwa słowa, żeby przysyłali więcej?...

Paweł uśmiechnął się.

- Postaram się zrobić to dla pani. Rozbawiony, skierował się w stronę domu nauczycielki. Otworzyła mu od razu, zaprosiła do pokoju, który wydał mu się jeszcze bardziej sympatyczny. Postawiła przed Pawłem herbatę. Zapalili. Marta miała starannie uczesane włosy i starała trzymać się prosto.

- Dlaczego zginął Borowicz? Przecież to był najlepszy człowiek w tym mieście - powiedziała.

- Wszystko się wyjaśni już niedługo. Teraz, kiedy już pani wie, kim jestem, oczekuję od pani pomocy. - Paweł patrzył prosto w jej oczy.

- A kim pan jest? - Nauczycielka nie odwróciła wzroku.

- Mówiła przecież pani o tym dentyście.

- Nic podobnego.

- Kiedy ostatni raz widziała się pani z Kowalewskim?

- Byłam u niego trzy dni temu, kiedy pana tu jeszcze nie było.

Paweł uśmiechnął się.

- To rzeczywiście przekonujące. Dziewczyna nie wytrzymała.

- O tym, że pan pracuje w milicji, dowiedziałam się dopiero dzisiaj.

- Od kogo?

- Od pani Zatlokowej. Tej, u której pan mieszka.

Paweł uniósł szklankę do ust. wypił łyk herbaty.

- A jak pani sądzi, jaki cel mógł mieć dentysta mówiąc, że to pani powiedziała mu o mnie?

- Mógł zapomnieć, kto mu o tym powiedział; ma ostatecznie wielu pacjentów.

- Myślę, że takie szczegóły raczej się pamięta.

- Może go ktoś prosił o dyskrecję, a był przekonany, że ja dowiedziałam się o tym pierwsza.

- Rzeczywiście, to prawdopodobne. Ale skąd mógł wiedzieć, że rozmawiałem już z panią?

- Może widział pana wchodzącego tutaj? Mieszka przecież w następnym domu.

- Pani wspaniale dedukuje.

Lekkim uśmiechem przyjęła komplement.

- Staram się myśleć, panie poruczniku.

Paweł zdziwił się, że zna nawet jego stopień.

- Pani zeznania w sprawie morderstwa były więcej niż skromne.

- Powiedziałam wszystko, czego ode mnie żądano, ale, rozumie pan, że nie jest to dla mnie przyjemne wspomnienie.

- Rozumiem panią, ale założę się, że mogłaby pani wiele dopowiedzieć.

- Nie, raczej nie. - Zastanowiła się. - Nie chciałabym mówić o swoich podejrzeniach czy antypatiach Jurka.

- Dlaczego?

- Można przecież skrzywdzić osobę niewinną.

Paweł był już pewien, że nauczycielka ma jeszcze coś do powiedzenia, ale zdawał sobie sprawę, że wyciągnięcie od niej jakiegokolwiek informacji będzie sprawą trudną.

- Wydaje mi się, że nic można jeszcze mówić o krzywdzie, kiedy w grę wchodzi poszlaki i podejrzenia. Krzywdą byłoby ukaranie kogoś niewinnego, a taka ewentualność nie wchodzi przecież w rachubę.

Jego słowa ją wyraźnie uspokoiły.

- Proszę mi więc powiedzieć, kogo Jerzy nie lubił?

- Jeżeli już muszę o tym mówić... Wszyscy myślą, że nic lubił Sobocińskiego, a to nieprawda: to Sobociński nie cierpiał Jurka.

- Czy Braniecki nie wyczuwał tego?

- On w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Jaka mogła być przyczyna tej nienawiści?

Spuściła wzrok.

- Jurek nie wiedział... - zawiesiła głos.

- Proszę mówić śmiało. Nasza rozmowa pozostanie między nami.

- Jurek nie wiedział, że tamtemu chodzi o mnie - wyrzuciła z siebie.

- Czy na pewno nie domyślał się tego?

- Był zbyt zajęty swoją pracą, a może zbyt zarozumiały.

- A więc do wszystkich odnosił się jednakowo?

- Tak - odpowiedziała nauczycielka, ale zaraz sprostowała: - Nie lubił jedynie Zajączkowskiego.

- Co było powodem tej antypatii?

- Zaczęło się to od dnia, w którym cukiernik niespodziewanie odwiedził Jurka.

- A co w tym było niezwykłego, przecież spotykali się na obiadach u De tyńskiego.

- To zupełnie co innego. Zajączkowski miał pieniądze, Jurek zaś poczucie własnej wartości. Zajączkowski odwiedza tylko ludzi zamożnych, którym może imponować swoim bogactwem.

- I dopiero po tej wizycie Braniecki zmienił stosunek do Zajączkowskiego?

- Tak, przedtem nie żywił do niego żadnej wrogości.

- Czy Braniecki rozmawiał z panią o tych odwiedzinach?

- Mówił mi tylko, że tamten przyszedł do niego z dziwną propozycją.

- Cóż to była za propozycja?

- Nie wiem, Zajączkowski nie interesuje się przecież sztuką.

Paweł był przekonany, że jeśli nawet dziewczyna rzeczywiście nie wie o tej wizycie nic konkretnego, to przynajmniej musi się czegoś domyślać.

- W każdym razie Jurek był zły i kilkakrotnie powtarzał, że ludzie są nic niewarci.

- Czy nie mówił nic szczegółowego?

- To chyba wszystko, co wiem na ten temat.

- Jeszcze jedno: Czy dentysta często chodzi na ryby?

- Tak, przynajmniej dwa razy w tygodniu. Jego motorower budzi nieraz mieszkańców. Jest bardzo głośny, a tu w nocy jest taka cisza, że ludzie przeszkadzają sobie wzajemnie chrapaniem. Dwa dni temu obudził mnie o czwartej. Ostatnio źle sypiam i od jego przejazdu nie mogłam zmrużyć oka.



Paweł ze smakiem zjadał herbatniki; wiedział, że już nie zdąży dziś zjeść kolacji.

Nazajutrz rano dokładnie spisywał zeznanie dentysty. Był w świetnym humorze, żartował sobie na temat umiejętności wędkarskich Kowalewskiego i pytał, czy często zdarza mu się nic nie złowić. Sam opowiadał o swoich przygodach płetwonurka. Kiedy wreszcie Kowalewski podpisał i wyszedł, do pokoju zajrzał plutonowy Kawczyński.

- Panie poruczniku, jakiś młody człowiek chce z panem rozmawiać. Mówi, że nazywa się Filip Detyniecki.

- Niech wejdzie.

Bratanek doktora wszedł szybkim krokiem.

- Dzień dobry. Ale pan wszystkim zrobił kawał! Mój stryj stał się od pewnego czasu bardzo mrukliwy.

- Tak się jakoś złożyło. Co pana do mnie sprowadza?

- Zgodnie z tym, co powiedziałem wtedy przy stole, zacząłem rozglądać się trochę i chyba mógłbym panu pomóc.

- Bardzo się cieszę, ale sądzę, że trochę racji miał Sobociński: w takich sprawach trzeba być ostrożnym

- To jego ostrzeżenie wydało mi się podejrzane. Powiem panu w sekrecie, że od tego czasu śledzę go. On mnie oczywiście nie widzi. - Filip spojrzał na niego, jakby szukając aprobaty. - I odnotowałem skromny sukces... - Zrobił efektowną pauzę. - Zauważyłem, że Sobociński nigdy nie przyjeżdża ze swojego zakładu wcześniej niż późnym popołudniem, a kiedy zamordowano tego woźnego, był w Piaskowej Górze od rana.

- Widział go pan?

- Tak, chodziłem za nim, ale gdzieś koło południa zniknął mi w tłumie.

- Czyli przechytrzył pana?

- Tak, ale tym samym obciążył się chyba silnie?

- O której godzinie go pan zgubił?

- Mam tu zapisane. Prowadzę ściśle notatki.

Filip wyciągnął z kieszeni czarny brulion. Przerzucił kartki i przeczytał:

- Jedenasta czterdzieści siedem. Mogą być dwie minuty omyłki, bo nie jestem pewien swojego buksiaka.

- Porozmawiam o tym z panem Sobocińskim. A w związku z tym, że śledztwo dobiega końca, może się już pan teraz spokojnie opalać. Dziękuję bardzo za pomoc.

- To dla mnie drobiazg. - W głosie chłopaka słychać było rozczarowanie.

- Do zobaczenia. Proszę pozdrowić stryja i uzbroić się w cierpliwość. Czy mógłby mi pan wypożyczyć swoje notatki na kilka dni?

Postanowił złożyć wizytę Zajączkowskiej. Przed komisariatem natknął się na Tobole, ostro strofującego wyprostowanego przed nim na baczność montera w żółtym kasku. Paweł podszedł do niego.

- Dobrze, że cię spotykam. Jeżeli masz chwilę czasu, to wpadnij do mnie, pogadamy - zaprosił go do komisariatu.

- Niech cię kule biją. Wystrychnąłeś mnie wtedy na dudka. Nie wiem, czy wypada mi mówić do ciebie per ty. Jesteś przecież na służbie - żartował Tobola.

Usiedli w pokoju komendanta. Paweł zaczął bez ogródek:

- Jesteś jedynym człowiekiem z przyzwoitym alibi, oprócz weterynarza Nowocienia, który pojechał do Bułgarii. I dlatego mogę cię śmiało prosić o pomoc. Ale zgodnie ze zwyczajem zacznijmy od stworzenia świata. Opowiedz jeszcze raz, co robiłeś tamtej nocy.

Tobola westchnął z udaną zgrozą.

- No, ładnie, jeszcze raz... Niech będzie. Był to, jak wiesz, dziesiąty dzień miesiąca: moi ludzie podostawali pieniądze. Zaszedłem do knajpy coś zjeść i zaczęło się. Chłopcy mi postawili, później ja musiałem się rewanzować. Ululałem się porządnie. Do dzisiaj na wspomnienie tego pijaństwa mam kaca. Jak mi później opowiadano, uparłem się, aby jechać samochodem do domu. Ci mniej pijani trzymali mnie, lecz wyrwałem się i wsiałem do wozu. Dojechałem ledwie do placu Niepodległości. Zatrzymałem samochód i poszedłem, depcząc wszystkie okoliczne trawniki, do domu. Od razu zasnąłem jak zabity.

Rano okazało się, że samochód zostawiłem przed komendą, pod znakiem zakazu zatrzymywania się. Mandat zresztą nie był taki duży. Na szczęście twoi koledzy nie widzieli mnie pijanego. I to wszystko. Nie zapisujesz?

- Nie ma sensu. Powiedz mi, czy wiedziałeś, że dentysta i Braniecki znali się?

- Tak? Słyszę o tym po raz pierwszy.

- A czy zauważyłeś ochłodzenie stosunków między Zajączkowskim a Branieckim?

- Tak, ostatnio nie odzywali się do siebie, co zresztą niełatwo było zauważyć, bo, jak wiesz, Zajączkowski bardzo mało mówi.

- Jak sądzisz, co na to wpłynęło?

- Nie udawaj, że tego nie wiesz. Musiano ci chyba o tym donieść. Zajączkowski potrzebuje pieniędzy na rozwinięcie interesu. Willa z basenem okazała się zbyt droga nawet dla niego. W każdym razie ludzie mówią, że ma trudności finansowe. Jego żona wyjeżdża na miesiąc do rodziny w Danii. On - pomimo potężnych rogów - kocha ją bardzo, a w interesach są nadzwyczaj lojalni wobec siebie.

- Co to ma wspólnego z Branieckim? - zniecierpliwił się Paweł.

- Powoli. - Toboła wyjął z kieszeni papierosa. - Zajączkowski, słuchając tych gadek o dziełach sztuki na obiadach u doktora, wykombinował sobie, że dobrze byłoby jakąś drobnostkę dać żonie do wywiezienia. Poprosił o radę lub o ułatwienie kupna, Branieckiego; ten się wściekł i to wszystko.

- To interesujące. A co chciał kupić?

- Tego, jeżeli on sam ci nie powie, to raczej nie dowiesz się nigdy. Myślał na pewno, że Braniecki, pracując w starych kościołach, ma w domu na strychu lub w piwnicy stopy antyków.

- A może chodziło o Madonnę?

- Nie, to za duży interes jak na niego; myślę, że chodziło o coś mniej cennego.

- A jak duet Braniecki - Detyniecki? Czy wszystko między nimi układało się dobrze?

- Darzyli się dziwną sympatią. Braniecki nudził się, potrzebny mu był dom, gdzie miałby z kim pogadać. Doktor umie zjednywać sobie ludzi. Bo w jego znawstwo sztuki Braniecki specjalnie nie wierzył. Ale cenił jego pasję kolekcjonerską.

- A ten Mercedes z cudzoziemską rejestracją pod jego oknem na dzień przed popełnieniem zbrodni?

- Nie chcesz mi chyba wmówić, że nie prześwietliliście faceta na wylot. Wiecie o nim na pewno więcej niż jego rodzone dzieci.

- Masz trochę racji, jednak nie rozmawialiśmy z nim osobiście: przekroczył granicę na dziewięć godzin przed zamordowaniem Branieckiego. Czy cudzoziemcy często odwiedzali doktora? Jest przecież znanym zbieraczem.

- Nie, najwyżej raz do roku w czasie wakacji.

- To by się zgadzało. Czy znasz osobiście Kowalewskiego?

- Nie. Zęby mnie nie bolą, a on na obiady nie przychodzi. Posprzeczali się kiedyś z Detynieckim. Widzę go często, jak jeździ na tym swoim motorowerku. Aż dziw, że się pod nim nie załamie.

- No to dziękuję ci za informacje. Muszę teraz lecieć do Zajączkowskiej.
- To wspaniała kobieta. Ciekawe, czy cię przyjmie od razu w sypialni.
- Nie żartuj. To ważna rozmowa. Tobola nie mógł opanować wesołości.

Wyszli razem. Nie opodal stał biały Piat, zaparkowany w zatoczce przed komisariatem.

- Chcesz, to cię podwiozę, mam jeszcze parę minut czasu. Później muszę jechać do Ostrowa po kosztorys robót. W przyszłym tygodniu zwala mi się na głowę komisja. Zobaczysz, jak ta maszynka chodzi, silnik tysiąc osiemset centymetrów sześciennych.

- Dziękuję, przejeździemy się innym razem. To bardzo blisko. Chciałbym się przespacerować.

Pożegnali się. Tobola ruszył, kiwając mu jeszcze ręką z okna samochodu.

Pogoda nagle zaczęła się psuć. Kiedy Paweł dochodził do domu Zajączkowskich, zerwał się silny wiatr.

Pod numerem osiemnastym zobaczył okazałą białą willę, oddaloną o kilka metrów od ulicy. Przy furtce nie było dzwonka, nacisnął więc klamkę i wszedł na wybetonowaną drogę prowadzącą do willi. Po kilku krokach droga rozwidlała się i jej odgałęzienie prowadziło w dół do garażu umieszczonego pod domem. Po lewej stronie miał ogród, gdzie na trawnikach porozstawiane były gliniane krasnoludki pod grzybami, sarenki i inne brzydactwa pomalowane na jaskrawy kolor.

Jedno z weneckich okien, przysłonięte do połowy rozłożystą akacją, było otwarte. Poruszana przez wiatr szyba wydawała monotony odgłos. Z środka dobiegał podniesiony głos kobiety i piskliwe poszczekiwanie psa.

Kiedy zadzwonił, słyhać już było tylko psa. Otworzyła mu młoda dziewczyna z zaczerwienionymi oczyma. Wprowadziła go do dużego pokoju, prosząc, żeby poczekał. Pokój ten pełnił rolę salonu. Gospodarze ze szczególnym staraniem zadbali o wysoką cenę mebli i odpowiednią liczbę książek, kupowanych na metry. Na ścianach wisiały słoneczniki Van Gogha i pełno poczerniałych ikon, zrobionych z bułgarskich reprodukcji naklejonych na postarzone deski.

Oczekiwanie przedłużało się. Wreszcie weszła Zajączkowska niosąc na tacy dwie parujące filiżanki i talerzyk z równo ułożonymi galaretkami. Widać było, że nie marnowała czasu: skromna, ciemna sukienka doskonale wyszczuplała jej sylwetkę, makijaż i włosy były bez zarzutu. Uśmiechała się promiennie od progu.

- Co za miła niespodzianka. Cieszę się bardzo, ale powinnam się pogniewać. - Pogroziła mu żartobliwie palcem.

Paweł zrobił skruszoną minę.

- Ma pani na myśli moje incognito?

- Przecież ja bym sobie głowę dała uciąć, że jest pan konserwatorem. A tu nagle ta wiadomość; przybiega Zośka, to ta dziewczyna, która otworzyła drzwi... mam z nią duże kłopoty, codziennie chciałaby mieć wychodne, a przecież za coś jej płacę... A więc przybiega i krzyczy, że przyjechał nowy milicjant z Warszawy i prowadzi śledztwo, a najpierw udawał geometrę czy malarza. Jeszcze wtedy nie zorientowałam się, że chodzi o pana. Dopiero wieczorem mąż powiedział mi wszystko. Czy to tak ładnie ukrywać swoją prawdziwą twarz przed ludźmi darzącymi pana sympatią?

Wypięła biust, niewątpliwie argument nie do odparcia w prowadzonych przez nią dyskusjach.

- Zwłaszcza, że mordercą jest na pewno jakiś miejscowy łobuz, a dla niego jest obojętne, za kogo pan się przebierze.

- Widzi pani, my, milicjanci, lubimy się czasem przebierać i udawać kogoś innego; może to niewyżyte ambicje aktorskie, które drzemią przecież w każdym człowieku. A może specyfika zawodu. Ale wracając do rzeczy. Skąd to pani przekonanie o winie miejscowego chuligana? Zatrzymano Waśkę w Gdańsku. Będę go dzisiaj przesłuchiwał i zastanawiam się, jak go skłonić do przyznania się do winy, zwłaszcza do zamordowania Borowicza, jeżeli był wtedy o pięćset kilometrów stąd.

Zajączkowska wstała i otworzyła barek w regale. Zapaliły się czerwone lampki oświetlające wnętrze, powiększone o odbicia w lustrzanych ściankach.

- Czego się pan napije? White Horse czy Martell?

- Whisky, jeśli można. Bez wody - dodał widząc, że przysuwa kulisty syfon.

Sobie naląła odrobinę koniaku.

- Za pański sukces! - Umoczyła usta, ogrzewając kieliszek w dłoniach. - Nie miałam na myśli akurat jego, ale musi pan wiedzieć, że w Piaskowej Górze roi się wprost od łobuzów. Komendant MO musiał chyba panu wspomnieć, jakie są z nimi kłopoty.

- I któryś z nich zabił dwie osoby, żeby zdobyć drewnianą figurkę?

- Do takich ludzi to wszystko podobne.

- A może któryś z nich miał rodzinę za granicą? I postanowił wywieźć rzeźbę, na przykład do Skandynawii. - Paweł patrzył niewinnie w oczy Zajączkowskiej.

Zza okna dobiegało wesołe poszczekiwanie psa wypuszczonego do ogrodu. Zajączkowska uśmiechnęła się.

- Pan jest dowcipny, panie Pawle. Oni na pewno by na to nie wpadli.

- A pani?

- Co ja?

- Gdyby pani miała ochotę ukraść tę figurkę - mówimy oczywiście żartem - to czy wpadłoby pani do głowy, żeby ją wywieźć chociażby do Danii?

Zajączkowska pobladła nieco pod warstwą pudru.

- Widzę, że ktoś pana źle poinformował. - Powoli dobierała słowa. - Rzeczywiście wybieram się do Danii, lecz chyba pan nie przypuszcza, że przyszedłoby mi coś takiego do głowy. - Głos jej stał się bardziej matowy, zachrypnięty.

- Nigdy tego nie mówiłem, jednak rozważając rzecz hipotetycznie, mogę założyć i to. Zwłaszcza, że mamy zeznanie świadka o nagłym zainteresowaniu się państwa dziełami sztuki.

- Kto to mógł powiedzieć? Chyba ten chłystek Tobola albo Detyniecki, stary plociuch! - Jej głos tryskał jadem.

- Wobec tego jednak, że złożono takie zeznanie, będzie pani łaskawa coś mi na ten temat powiedzieć. - Paweł mówił spokojnie, lecz stanowczo. - Zaprzeczenie może tylko skierować podejrzenie na pani męża. Jego alibi potwierdza tylko pani. W czasie zabójstwa Borowicza nie było go ani w wytwórni, ani w sklepie. Sama pani widzi, że milczeniem można mu tylko zaszkodzić.

Cała dotychczasowa kokieteria tej kobiety zniknęła bez śladu. Widać było, że intensywnie nad czymś się zastanawia. Po chwili odezwała się:

- Dobrze, powiem panu. Myśleliśmy o wywiezieniu czegoś za granicę. Nic chciałam tam być tylko na łasce rodziny. Nie jesteśmy bogatymi ludźmi, więc planowaliśmy z mężem, że kupimy jakiś drobiazg i wywieziemy. Ale to był tylko plan.

- Jednak mąż pani rozmawiał o tym z Branieckim?

- Tak. Tamten obraził się na niego.

- Wtedy pozostało tylko działanie na własną rękę?

- Ależ skąd! Mąż był bardzo zdenerwowany po tej rozmowie i powiedział, żeby mi dała święty spokój. Daję panu na to moje słowo.

- Wierzę pani.

Zajączkowska z niedowierzaniem popatrzyła na Pawła.

- Nie będzie więc pan już wracał do tego okropnego tematu? - Na powrót przybrała zalotną minę.

- Jeżeli to, co mi pani powiedziała, jest prawdą, to obiecuję pani już do tego nie wracać.

Pani domu zagłębiła się w fotelu. Przykrótka sukienka podjechała jej prawie do uda.

- Napijemy się jeszcze i porozmawiamy o czymś innym: tyle jest przecież wspaniałych rzeczy na świecie!

Pawła zdumiewał jej głos, który już po raz trzeci zmienił swą barwę. Teraz mówiła nastolatka.

- Pozwoli pani, że nie będę już więcej pił; jestem przecież na służbie. - Paweł starał się, żeby odmowa jej nie uraziła. - Ponieważ przyznała pani, że możemy być ze sobą szczerzy, więc zanim przejdziemy do tych wszystkich wspaniałych rzeczy, proszę mi pomóc charakteryzując kilka znajomych nam osób.

Zajączkowska zorientowała się od razu, że Paweł prowadzi rozmowę do konkretnego celu. Zaczerwieniła się lekko.

- Co chciałby pan wiedzieć? - spytała.

- Co sądzi pani o Sobocińskim? Czy mógłby zabić Branieckiego? On także nie ma alibi. Podczas morderstwa rzekomo spał w domu. Ale nikt inny nie może tego potwierdzić.

Nabrała powietrza w płuca.

- To rzeczywiście niedobrze, jeżeli mężczyzna w jego wieku śpi sam - W mówieniu o innych czuła się znacznie pewniej. - Nie mogę za nikogo ręczyć, ale on jest mocny tylko w gadaniu, w gruncie rzeczy muchy by nie skrzywdził. Jest wspaniałym wychowawcą. Nie uznaje kar fizycznych w stosunku do trudniejszej młodzieży. Jako wdowiec był cały pochłonięty sprawami zakładu, kiedy przyszło spóźnione uczucie do tej niewydarzonej nauczycielki. Od tego czasu Andrzej zmienił się nie do poznania: zaczął się inaczej ubierać i był już nawet na dobrej drodze do osiągnięcia celu, kiedy przyjechał tamten. Andrzej nienawidził go, nie potrafił tego ukryć nawet pod maską dobrych manier. Ale zabić - nie, to do niego zupełnie niepodobne. Zresztą on nie ukradłby rzeźby. Zaręczam panu, że to nie on.

Paweł czuł, że ta kobieta po raz pierwszy mówi naprawdę szczerze. Jej stosunek do nauczycielki zdawał się wskazywać na to, że dobre maniery kierownika zakładu poprawczego musiały znaleźć sobie miejsce w pojemnym sercu żony cukiernika. Zajączkowska nie brała jednak pod uwagę inteligencji Sobocińskiego: zabierając Madonnę z miejsca zbrodni stanąłby w pewnym sensie poza podejrzeniem.

- A doktor? Czy on mógłby to zrobić? Zajączkowska odparła bez namysłu:

- Tak. Jest bezwzględny, jeżeli chodzi o powiększenie kolekcji. Ludzie mówią, że w sześćdziesiątym dziewiątym roku kupił od wiejskiej kobiety ikonę za trzysta złotych, a warta była duże pieniądze.

- Nawet jeśli to prawda, jest pewna różnica między tą transakcją a zamordowaniem dwóch ludzi.

- Pan się pytał, czy mógłby to zrobić, a ja myślę, że tylko on umiałby ją później sprzedać... - zawiesiła głos.

Paweł wiedział, że nic konkretnego już się nie dowie. Wszyscy mogli to zrobić, ale tylko jeden człowiek się zdecydował. Już przesłęczane w Warszawie nad aktami noce dawały mu pewien obraz tej małomiasteczkowej społeczności. Setki aluzji, a wobec prawa wszyscy czyści jak łąza. Same plotki i ani jednego konkretnego dowodu. Nikogo nie mógł wykluczyć, ale podejrzenie, jakie powziął jeszcze przed wyjazdem, nurtowało go i dziś. W porannym raporcie telefonicznym opisał majorowi Balińskiemu swoje zamiary i prosił o szczegółowe dossier dwóch ludzi.

Był tu dopiero kilka dni, a już czuł się zmęczony ciężką atmosferą i tym, że morderca chodzi bezkarnie po ulicach. Śledztwo trwa już drugi miesiąc. Mnożą się naciski z góry. Przesyłanie go tutaj było ukoronowaniem mrówczej pracy ludzi z Komendy Powiatowej, a później Głównej, badających niemal całe życie mieszkańców miasteczka. Nie darowano nawet wczasowiczom: każdy, kto w dniu 10 lipca był w Piaskowej Górze, musiał liczyć się ze szczególnym zainteresowaniem milicji. Materiały zabezpieczone na miejscu pierwszego morderstwa były ubogie. Odciski palców Branieckiego, Marty Nowak i Zatlókowej. Na ramie okiennej od zewnątrz - także Waški.

Dwaj ludzie zabici silnymi ciosami w głowę. Narzędzia zbrodni w obydwu przypadkach nie zidentyfikowano. Poszukiwania nie dały żadnych rezultatów; w okolicach bagna morderca mógł się łatwo pozbyć nawet maczugi. Ciosy dosięgły ofiar z przodu; zabójca musiał więc z nimi rozmawiać. W drugim wypadku szczególnie dopisało mu szczęście: zabił w biały dzień, o kilka kroków od rynku, i odszedł nie zwróciwszy niczyjej uwagi. Wszystko to razem, zdawałoby się dość prymitywne, sprawiało jednak tyle kłopotów organom ścigania.

Przypominał sobie zafrasowaną minę majora Balińskiego, który wysyłał go do Piaskowej Góry. Wtedy jeszcze nie było wiadomo, że morderca zaatakuje jeszcze raz - i to prawie tuż pod nosem zdolnego podobno porucznika Werta.

Takie niewesołe myśli przychodziły Pawłowi do głowy, ale w głębi duszy nurtowało go też od dawna przecucie, że wie, kto jest mordercą.

Uśmiechnął się do gospodyni.

- Bardzo wygodny jest ten fotel, ale niestety będę musiał już iść.

Czuł, że w każdej innej sytuacji starałaby się go jeszcze zatrzymać, ale teraz chciała, żeby sobie już poszedł.

- Myślę, że odwiedzi mnie pan jeszcze nieraz.

Paweł pocałował podaną sobie dłoń. W ogrodzie dziewczyna, która otworzyła mu drzwi, przycinała żywopłot. Ukłonił się myśląc jednocześnie, że za żadne skarby nie chciałby być na jej miejscu.

W komisariacie Kujawiak aż zapiał z radości na jego widok.

- Nareszcie coś nowego. Przyszła przed chwilą stara Stefańska, sąsiadka Borowicza.



Przypomniała sobie coś ważnego. Przesłuchacie ją chyba osobiście?

- Tak, oczywiście.

Po chwili przyprowadzono staruszkę. Przysiadła na brzegu krzesła, drżącymi rękami przytrzymywała chustę.

- Proszę oficera, mam jeszcze całkiem dobrą pamięć, ale to wyleciało mi z głowy zupełnie. Tyle kłopotu z wnuczkami, przecież to jeszcze dzieci, a i mieszkanie musi być posprzątane, więc, proszę oficera, tylko praca i praca. A i w kolejkach stać trzeba, bo teraz tacy ludzie, że nie chcą przepuścić, więc czasami coś w głowie zaginie, ale sama się dziwię, jak mogłam coś takiego zapomnieć.

Mówiła szybko i Paweł z trudem znalazł przerwę w jej monologu, aby skierować go na właściwe tory.

- Więc o czym powiedział pani Borowicz?

Staruszka jakby nie dosłyszała pytania.

- Borowicz?... Borowicz to był naprawdę dobry człowiek. Tylko ta praca w szkole go już męczyła. Proszę oficera, samotny człowiek życie ma nielekkie, szczególnie mężczyzna; przecież musi się oprąć i do jedzenia coś zrobić, a przecież gotować to nie jest takie proste, szczególnie dla mężczyzny.

Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu.

- O czym się pani dowiedziała od Borowicza? - Paweł próbował uzyskać od staruszki jedyną ważną informację.

- Proszę mówić prosto i zwięźle - wtrącił się sierżant Kujawiak.

- Przecież mówię to, co trzeba. - Stefańska obejrzała się na komendanta.

- Proszę sobie spokojnie przypomnieć, co powiedział pani Borowicz. - Paweł starał się uspokoić staruszkę.

- Mam lat osiemdziesiąt siedem, ale pamięć jeszcze dobrą. I wcale niczego nie zapomniałam. Borowicz zaglądał do mnie, choć bardziej lubił chodzić po mieście. Ale pożyczał coś czasem. Wtedy przyszedł pożyczyć dwa jajka na kolację i właśnie mi to powiedział.

- Co? - zapytał cierpliwie Paweł.

- Ano przecież mówię cały czas. On często w nocy nie mógł spać, tak jak ja. Okno miał otwarte, a okno u niego nie wychodzi na ulicę, tylko na podwórze. I on w tym oknie siedział, i słyszał...

Komendant aż pochylił się w krześle.

- Co słyszał? - zapytał Paweł.

- Przecież mówię cały czas, że motorower!

Zapadła cisza. Protokołujący młody milicjant wstrzymał oddech, czekając na następne pytania.

- Czy Borowicz widział, kto jechał na tym motorowerze?

- Tylko mu mignął. Postawił motor przy płocie i do kościoła poszedł na piechotę. Kto to był, tego stary nie był pewien. Mówił mi, że zanim powie o wszystkim milicji, to sam sprawdzi, czy to rzeczywiście ten, o kim myślał.

- Nie wymienił na pewno żadnego nazwiska?

- Nie, przecieżbym pamiętała.

Paweł podziękował staruszce. Starannie podpisała zeznanie i wyszła zadowolona z siebie. Przypuszczenia Pawła stawały się coraz bardziej konkretne. Postanowił jechać do Ostrowa.

- No i co? Udało się! Zawsze powtarzam, że w naszej pracy dużo zależy od szczęścia. Kiedy go aresztujemy? - zacierał ręce komendant.

- Nie ma co się śpieszyć. Jeżeli to on, to mamy go na oku. Jednak lepiej się nie pomylić.

- Nie ma mowy o pomyłce. Tylko on jeździł rano na motorowerze. - Kujawiak nie dawał za wygraną.

- Na razie porozmawiamy z Kazimierzem Waśką. Później pojedę do Ostrowa. Potrzeba mi jeszcze kilku danych z Komendy Powiatowej... Porozmawiam też z prokuratorem.

Przyprowadzono Waśkę. Był to wysoki chłopak o pospolitej twarzy, nie pozbawionej jednak bystrości. Nie ogolony, po kilku dniach spędzonych w areszcie mówił dużo i chętnie. Padały stereotypowe pytania: nazwisko, imię, rok urodzenia, imiona rodziców.

Paweł próbował, zresztą bez przekonania, nastraszyć go, że jest głównym podejrzanym w sprawie o zabójstwo Branieckiego. Szybko jednak zorientował się, że to nie ma sensu. Chłopak był przybity, odpowiadał szczerze i chciał jak najprędzej iść do domu.

Paweł powiedział:

- Skłonny jestem wam wierzyć, ale wasza ucieczka i morderstwo Branieckiego to dziwny zbieg okoliczności, który was obciąża. Powiedźcie wreszcie, dlaczego właśnie wtedy wyjechaliście?

Waśko miał wzrok spuszczone i Paweł przypuszczał, że nie powiedział jeszcze wszystkiego.

- Tak się złożyło. Popijaliśmy wtedy u Józka Michalaka, potem była między nami sprzeczka, więc zabrałem się i pojechałem.

- Michalak nic mi o tym nie mówił. Waśko lekko się zaczerwienił.

Paweł patrzył mu prosto w twarz. Spojrzenie chłopaka błdziło gdzieś za oknem.

Sierżant Kujawiak przerwał ciszę:

- Powiedźcie, co robiliście wtedy w nocy?

Waśko spojrzął na Pawła i zaczął mówić:

- Wracalem wtedy Kościelną od Józka Michalaka. Popijaliśmy dość ostro, ale byłem jeszcze dość trzeźwy i miałem ochotę wpaść do meliny na piwo.

- Która to mogła być godzina? - zapytał Paweł.

Waśko zastanowił się.

- Było gdzieś koło trzeciej.

Paweł przypomniał sobie zeznanie Michalaka. Wszystko się zgadzało.

- I postanowiliście wejść do Branieckiego przez okno na piwo?

Waśko spłoszył się lekko.

- Skąd pan wie? Widziałem, że u konserwatora się świeci. Wiadomo o jego powodzeniu u dziewczuch, nie? Chciałem go przyfilować z jakąś w łóżku; może by latała rozebrana albo co. Wspiąłem się na okno, bo do połowy były zasłonki, i wtedy zobaczyłem faceta leżącego przy drzwiach z rozwaloną głową, wokół pełno krwi. Przestraszyłem się cholernie. Pomyślałem, że któraś ładnie go urządziła. Wytrzeźwiałem od razu. I wtedy wiedziałem, że mnie pierwszego mogą zapudłować. Plątały mi się po głowie jakieś odciski palców, zacząłem wycierać ramę okna marynarką.

- Zrobiliście to niedokładnie - wtrącił triumfująco komendant.

- I co dalej? - spytał Paweł.

- Poleciałem do domu, spakowałem manatki i rano wyruszyłem autostopem w Polskę.

- Nam jeszcze nikt nie umknął, panie Waśko. - Komendant sapał groźnie z boku,

- Przypomnijcie sobie teraz dokładnie: czy wtedy, kiedy biegliście do domu, nie spotkaliście kogo? To bardzo ważne. - Paweł podkreślił ostatnie słowo.

Waśko wyłamywał palce w zamyśleniu.

- Nie było nikogo. Tylko dentysta jechał na ryby.

- Widzieliście go?

- Nie, ale słyszałem jego motorower na rynku.

- A kiedy dotarliście do rynku, już go nic było?

- Nie.

- Na której ulicy było go słychać?

- Chyba na Ostrowskiej.

- Dobrze, to nam na razie wystarczy. Podpiszcie tutaj. Wierzymy wam, ale do czasu sprawdzenia wszystkich faktów pozostaniecie w areszcie.

- Dlaczego, panie władzo? Przecież jestem czysty jak łąza. - Chłopak wyciągnął ręce w błagalnym geście.

- To dla waszego dobra. Możecie nam wierzyć.

Kiedy milicjant wyprowadzał chłopaka, komendant jeszcze ojcowskim, kategorycznym tonem poradził mu, żeby już zaczął myśleć o podjęciu konkretnej pracy.

Paweł uściśnął rękę komendantowi.

- Jadę do Ostrowa. Wydaje mi się, że jutro powinno już być po wszystkim.

- A więc do jutra. Będzie to dla nas ważny dzień.

Kierowcy, młodemu kapralowi, kazał Stanąć jeszcze przed domem doktora Detynieckiego. W tych godzinach powinien przyjmować pacjentów prywatnie. W poczekalni nie było nikogo. Zapukał do drzwi gabinetu. Kiedy wszedł, Detyniecki stał przy oknie z rękami w kieszeniach fartucha. Odwrócił się i wskazał mu ręką białe krzesło.

- Zmienił pan środek lokomocji, już nie pekaes?

- Wyjeżdżam stąd niedługo, i to właśnie pekaesem, panie doktorze.

- Szkoda, że nie zabawi pan tu dłużej.

- Mam do pana ogromną prośbę: winien jestem wszystkim państwu przeprosiny i pewne wyjaśnienia, dlatego, jeżeli chciałby pan pomóc organom ścigania - spojrzeli sobie w oczy - to chciałbym, żeby pan tym razem odstąpił od swej tradycji i zaprosił kilka osób na jutro i to na herbatę. Wtedy, być może, uda mi się udzielić państwu kilku informacji.

Doktor nie zastanawiał się długo.

- Jeżeli mogę być w czymś pomocny, to oczywiście mój dom jest do dyspozycji. Kogo mam zaprosić?

- Wszystkich dotychczasowych bywalców u pana na obiadach, a także proboszcza, pannę Nowak. Zależy mi też szczególnie na obecności doktora Kowalewskiego.

Detyniecki skrzywił się.

- Tego nie mogę zrobić.

- Dlaczego?

- Wie pan, każde towarzystwo posiada swoje obyczaje. To byłoby wbrew przyjętej zasadzie.

- Myślę, że w wyjątkowej sytuacji można by raz złamać zasadę.

Detyniecki szukał innego uzasadnienia.

- Sądzę, że moim gościom obecność Kowalewskiego byłaby niemiła.

- Dlaczego?

- Kowalewski był już kilka razy u nas, ale zachował się niestosownie. Wie pan, kiedy się jest gospodarzem, cała odpowiedzialność spada na mnie.

- Wyjątkowość tego spotkania polegałaby na tym, że ujawniony zostanie morderca. Dla takiego celu można raz, panie doktorze, złamać konwenanse.

Spojrzenie Detynieckiego ożyło. Paweł dostrzegł w jego oczach krótki błysk radości.

- W tej sytuacji zrobię to dla pana.

- Dziękuję i do widzenia.

Pożegnali się.

Paweł zbiegł szybko po schodach. Czekало go jeszcze dużo pracy w Ostrowie, a na koniec - rozmowa z prokuratorem.

Całe szczęście, że kapral okazał się świetnym kierowcą i do Ostrowa dojechali w ciągu dwudziestu minut. Paweł zostawił samochód w komendzie, a sam odnalazł przepisany z akt adres i poszedł szukać ulicy Jaskrowej. Wrócił po dwóch godzinach, bardzo zadowolony. W drodze do komendy nie mógł się opanować i stanął przy witrynie księgami: zobaczył na niej kilka pozycji gdzie indziej nie do zdobycia. Wahał się tylko chwilę. Kupił dla siebie „Córkę rzeźnika” Harasymowicza, a dla kapitana Adamika, wielkiego amatora literatury ibero-amerykańskiej, tomik Borgesa.

W komendzie długo rozmawiał przez telefon z Warszawą. Jego bezpośredni zwierzchnik, major

Baliński, ucieszył się otrzymaną wiadomością. Włączenie do śledztwa Pawła dało jednak wyniki. Życzył mu powodzenia.

Prokurator po wysłuchaniu Pawła uznał, że dowody są wystarczające, ale ponieważ sąd może jeszcze mieć pewne wątpliwości, pokerowa zagrywka Pawła przypadła mu do gustu. Szef Komendy Powiatowej, major Krupa, także życzył mu powodzenia, ale uznał jego plan za zbyt teatralny. Dziesięciu funkcjonariuszy komendy miało nazajutrz ubezpieczać mieszkanie doktora Detynieckiego.

Paweł został na noc w Ostrowie. Przewracał się na hotelowym łóżku nie mogąc zasnąć. Z hotelowej restauracji dobiegały najnowsze przeboje. Paweł słyszał, jak konferansjer zapowiada występ rewelacyjnej gwiazdy striptizu, Anity Falango, i zastanawiał się już nawet, czy nie zejść na dół, kiedy zasnął.

W południe jechał gazikiem do Piaskowej Góry. Na cztery kilometry przed miastem Paweł kazał kierowcy skręcić w boczną drogę. Na jej końcu stał gmach ogrodzony wysoką siatką. Dojechali do portierni. Nad bramą widniał napis:

### ZAKŁAD WYCHOWAWCZY DLA CHŁOPCÓW W PIASKOWEJ GÓRZE

Strażnik poderwał się na widok milicyjnego samochodu. Paweł powiedział:

- Chciałbym się widzieć z panem kierownikiem Sobocińskim. Proszę zawiadomić, że przyjechał porucznik Wert.

- Ależ, panie poruczniku, po co zawiadamiać, kierownik jest z chłopakami na boisku. O tam, za tym budynkiem

Strażnik nacisnął guzik i drzwi się otworzyły. Paweł przeszedł przez dziedziniec i skręcił w kierunku boiska, z którego dobiegał gwar i miarowe uderzenia odbijanej piłki. Zobaczył Sobocińskiego, ubranego w niebieski dres, grającego w siatkówkę z grupą chłopców. Jeden z nich na widok obcego szeptem dał znak kolegom. Sobociński, zdziwiony, że gra ustała, odwrócił się także.

- Grajcie dalej - powiedział wycierając ręce w leżący na ławce ręcznik.

Podszedł do Pawła. - Co pana do nas sprowadza? Czyżby któryś z moich podopiecznych...?

- Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że mogę pana podrzucić na podwieczorek do Detynieckiego.

- A racja, tak mnie usilnie zapraszał.

Usiedli na ławce. Chłopcom gra już wyraźnie nie szła, co chwila zerkali w ich stronę.

- Przyznam się, że nic mam wielkiej ochoty tam jechać. Coś ostatnio tamtejsza atmosfera mi nie służy. Na dodatek, zdenerwował mnie ten szczeniak, bratanek doktora. Ubzdurało mu się coś w głupiej głowie i chodził za mną bez przerwy, kiedy tylko pokazałem się w miasteczku.

- Doprawdy?

- Tak. W czasie targu, kiedy przyjechałem z intendentem dopilnować zakupów, ten szczeniak deptał mi wciąż po piętach.

- To co, pojedziemy?

- No, skoro pan tak nalega, to widać ważna sprawa. Proszę na mnie poczekać, za pięć minut będę gotowy.

Paweł apatycznie przyglądał się grze chłopców, którzy teraz, gdy odszedł kierownik, wyraźnie się popisywali. Nieobecność Sobocińskiego przeciągała się. Wreszcie przyszedł, ubrany w kremowy garnitur i wiśniowy krawat w pasy.

- Możemy jechać.

Przeszli przez portiernię. Paweł otworzył drzwi samochodu i szerokim gestem zaprosił Sobocińskiego do środka. Kierowca ruszył szybko w kierunku Piaskowej Góry.

Około szesnastej do nic nie przeczuwającego miasteczka przyjechały dwa Fiaty i motocyklista. Kilku funkcjonariuszy w cywilu wmieszało się w tłum pasażerów czekających na przystanku PKS. Jeden z nich siedział na ławce z dużą paczką, inni nerwowo spacerowali, zerkając na zegarki i sarkając na komunikację.

Jakiś motocyklista, otoczony wianuszkami miejscowych doradców, reperował swoją emzatkę tuż obok domu doktora Detynieckiego. Milicyjny gazik, z którego nikt nie wysiadał, stał na rynku przy aptece, zwrócony w kierunku Ostrowa.

Kiedy Paweł przyszedł do doktora z Sobocińskim, na kanapie siedział już proboszcz, zabawiając rozmową młodą nauczycielkę i panią domu. Detyniecki podszedł do Sobocińskiego i zagadnął o budowę basenu szkolnego. Kierownik zakładu poprawczego skarżył się na stan zdrowia, zdenerwowany, bez przerwy zerkał w stronę nauczycielki.

Kwadrans po piątej przyszli Zajączkowscy. Pani Jadwiga, w mocno wydekoltowanej sukience, paplaniem wypełniała cały pokój. Jej mąż usiadł na krześle z boku i uważnie spoglądał na Pawła.

W mieście zawyła syrena i dwa strażackie auta przemknęły z hałasem ulicą. Proboszcz chciał już wysłać Józefową, aby zasięgnęła języka, gdzie się pali, kiedy wszedł Toboła. Powiedział, że pali się stóg słomy w odległej o trzy kilometry wiosce.

Wszyscy byli w komplecie, oprócz rejenta Kordey, który wyjechał do córki, i dentysty. Ten ostatni przyszedł z półgodzinnym opóźnieniem, za które przeprosił wręczając Detynieckiej bukiet kwiatów. Uścisnęli sobie ręce z doktorom. Detyniecki był uprzedzająco grzeczny, posadził go między księdzem a swoją żoną.

Wielu nie uprzedzonych gości nie potrafiło ukryć swojego zdziwienia. Rozmowy przycichły, większość przysłuchiwała się uprzejmej wymianie zdań między dwoma lekarzami. Józefowa roznosiła kawę i herbatę. Detyniecki wyciągnął butelkę koniaku.

Dobiegała szósta. Słońce było już nisko i filtrowane przez gęste firanki, kładło na meblach miękkie światło.

Paweł spojrział na zegarek w chwili, kiedy wskazówki przecięły w pionie tarczę na dwie części. Odczekał do chwili przypadkowej ciszy i wstał. Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę.

- W związku z tym, że moja misja się kończy i będę musiał wyjechać, aby ustąpić miejsca nowemu konserwatorowi, który przyjedzie za kilka dni...

Niektórzy ze słuchających uśmiechnęli się.

- Czyżby pan już dokończył pracy nad polichromią? - spytał ironicznie Sobociński.

- Niestety, tego nie udało mi się dokonać. - Paweł spojrział przepaszająco na proboszcza. - Nie dokończyłem prac nad polichromią, ale udało mi się zrobić coś innego. Sprawę opatrzoną kryptonimem „Madonna” zlecono mi dwa tygodnie temu. Kolega prowadzący śledztwo ciężko zachorował i ktoś musiał go zastąpić. Szef naszego wydziału, major Baliński, zdecydował, że ja dalej pokieruję sprawą. Razem z kolegami doszliśmy do wniosku, że najlepszym sposobem na poznanie środowiska w tak krótkim czasie będzie zjawić się tu jako osoba pozornie nie zainteresowana śledztwem.

W salonie było bardzo cicho. Wydawało się, że ludzie za oknem mówią zbyt głośno.

- Już w Warszawie metodą eliminacji pewne osoby usuwałem z listy podejrzanych.

- A więc pan już wie, kto jest mordercą? - spytała cicho Marta Nowak.

- Tak.

- Ale chyba to nikt z nas? - wyrwała się Zajączkowska.

- To, co Borowicz przed śmiercią powiedział swojej sąsiadce, nasunęło mi pewną myśl. Niestety, Borowicz, zamiast przyjść z tym do milicji, starał się sprawdzić swe podejrzenia na własną rękę.

Ksiądz wodził przestraszonym spojrzeniem po obecnych. Doktorowa, blada, mieszała nerwowo kawę.

- Morderca zabił myśląc, że to jedyny człowiek, który go widział tej nocy - kontynuował Paweł. - To, co Borowicz powiedział sąsiadce, pozwoliło mi wyobrazić sobie, w jaki sposób morderca zabił Branieckiego. Wtedy rozwiązanie przyszło bardzo szybko. Sprawa okazała się dość prosta i gdyby nie pewne niedopatrzenie w pierwszej fazie śledztwa, brak jednego zeznania, można by ją zamknąć stosunkowo prędko.

Paweł spojrział z uśmiechem po obecnych.

- Tak więc, jak państwo widzicie, często przypadek i szczęście pomagają nam w naszej pracy. -



Paweł bez wahania zacytował słowa komendanta Kujawiaka.

- Może nareszcie powiesz nam, kto jest tym mordercą - odezwał się Tobola.

Paweł spojrzał na niego zimno.

- Ty!

Tobola zachnął się.

- Zawsze byłeś dowcipny, ale to jest żart zbyt ryzykowny.

Wszyscy patrzyli na nich. Ksiądz odruchowo wyjął z kieszeni różaniec.

- Musicie państwo wiedzieć, że Tobola jest jedynym mordercą w mojej karierze, z którym zdarzyło mi się być na ty.

Tobola z miną pełną niesmaku zapalił papierosa.

- Ten człowiek z zimną krwią zabił dwie osoby: młodego obiecującego historyka sztuki i starego, nie wadzącego nikomu człowieka. - Ton Pawła był coraz bardziej oschły.

- Tego już za wiele - zerwał się Tobola.

- Siadaj! - Paweł nie poznał własnego głosu: był ostry jak świst bata.

Tobola usiadł posłusznie z twarzą bladą jak ściana. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Zabił dwóch ludzi za osiemnastowieczną imitację starej szkoły.

- Więc jednak to była imitacja! - wyrwało się Detynieckiemu.

- Tak, badania dokumentów kościelnych wyraźnie to potwierdziły.

- Przecież ja nie mogłem tego zrobić, wiecie o tym. - Tobola popatrzył bezradnie po zebranych.

- Borowicz mówił o motorowerze, na którym przyjechał morderca. Nie mógł to być pan Kowalewski: nikt o zdrowych zmysłach nie podjedzie pięćdziesiąt metrów motorowerem, aby zabić. Musiał ktoś przyjechać z daleka. To byłeś ty.

- Dowody! Jakie macie dowody? Przyszedłem pijany do domu, spałem. Wyszedłem dopiero rano. Potwierdzają to moi gospodarze, on jest emerytowanym sędzią, jego słowa się liczą.

- Rzeczywiście, oni tak mówią, ale sam mi powiedziałeś, że słabo słyszą. Po przesłuchaniu ich dano ci spokój. Zapomniano jednak o ich czternastoletnim wnuku, który spędza u dziadków wakacje. Ma motorower w komórce, przerobionej dla ciebie na garaż. Właśnie chłopak zauważył inaczej ustawioną „jawkę”. Miał także zwyczaj zapamiętywania stanu licznika, żeby w szkole pochwalić się,

ile to przekreślił kilometrów przez wakacje. Zapamiętał, że coś mu się wtedy nie zgadzało. Na liczniku było o czterdzieści kilometrów więcej, tyle co z Ostrowa do Piaskowej Góry i z powrotem. Kiedy zapukałeś do Branieckiego, on zapytał na pewno, kto przychodzi tak późno, poznał twój głos i otworzył. Chciałeś rzucić podejrzenia na Kowalewskiego, gdyby ktoś usłyszał warkot motoroweru. Był to błąd. Drugim błędem było użycie gazety, którą owinałeś rurę. Tego dnia wyjątkowo opóźnił się transport gazet. Przywieziono je dopiero o pierwszej. A wyniki sekcji wskazują, że Borowicz zabity został między jedenastą a dwunastą. Najbliższy punkt sprzedaży gazet jest w Ostrowie. Kioskarka przypomniała sobie, że rano ją kupowałeś.

- To kłamstwo.

- Morderca musiał być tego dnia w Ostrowie. Udaje więc pijanego, zostawia samochód przed komendą - to wszystko zbyt piękne. Zeznanie chłopca wystarczyłoby, żeby cię aresztować, ale mamy coś lepszego: zeznanie świadka, który widział cię owej nocy w Piaskowej Górze. Sądziłeś, że tylko Borowicz?

- Bzdura! Myślicie, że w to uwierzę? - W oczach Toboli czał się lęk.

- Wystarczy, że uwierzy w to sąd. ósmego lipca o godzinie czwartej rano widział cię oprócz Borowicza także Kazimierz Waśko, wracający o tej porze do domu. Nie mogłeś go zauważyć, ale on widział cię dokładnie. Opowiedział nam wszystko: jak wyglądałeś i jakim motorowerem przyjechałeś. Jesteś aresztowany.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszło dwóch funkcjonariuszy z paskami pod brodą. Szczęknęły kajdanki. Tobola nie próbował stawiać oporu.

- Są tu ludzie, których znałeś i których gościnności nadużyłeś. Powiedz im, dlaczego zabiłeś, przecież powodziło ci się nieźle. - Paweł dał znak milicjantom, żeby poczekali.

- Tylko takim jak ty się zdaje, że byłem bogaty. Co to jest samochód? Ja chciałem mieć wszystko, żyć jak pan, ale nie tu, w Polsce. Żałuję, że mi się nie udało. - Tobola mówił cicho, z nienawiścią, nie patrząc nikomu w oczy. - Braniecki był gówniarzem. Myślał tylko o swojej pracy, a miał szansę zrobić ze mną prawdziwe pieniądze.

- Gdzie ukryłeś Madonnę?

- Chyba nie myślisz, że uwierzyłem w tę bajeczkę o fałszywej Madonnie? Braniecki był za dobrym fachowcem, nie mógł się mylić. Przyjdzie czas, to ktoś się po nią zgłosi.

- Możesz mi wierzyć, że na pewno nie ty. Będiesz miał dość czasu, żeby zmienić zdanie. Wyprowadzić.

Tobola wyszedł, prowadzony przez milicjantów. Za oknem słyhać było zapuszczanie silników.

W salonie goście mieli niewyraźne miny. Proboszcz nerwowo spacerował po pokoju. Kobiety milczały, tylko Sobociński z przejęciem pogwizdywał przez zęby.

Pierwszy przerwał milczenie gospodarz:

- To straszne, jak można się omylić. Kiedy pan go zaczął podejrzewać? - spytał.

- Chyba jeszcze w Warszawie. Był na czele mojej listy. On pierwszy też domyślił się, że jestem z milicji. Zaniepokoiło go to, że kręcę się w pobliżu kościoła. Nie wytrzymał i postanowił zapoznać się ze mną. Chciał być blisko śledztwa i udało mu się to.

- A kiedy nabrał pan pewności? - dopytywał się młody kuzyn doktora.

- Od początku dziwiła mnie jego skwapliwość w opowiadaniu o innych, ale to można było policzyć na karb jego gadatliwości. Poza tym stale podkreślał, że nie zna się na sztuce, a kiedyś wspominał o Madonnie z Kruźlowej, o której laik na pewno by nie słyszał.

- Czy mówił pan poważnie o tym, że figurka jest falsyfikatem? - zapytał proboszcz.

- Sądziłem, że da się nabrać. Niestety odnalezienie jej będzie teraz trudnym zadaniem dla naszej grupy operacyjnej. Chyba, że uda nam się go przekonać, żeby powiedział, gdzie ją ukrył.

Paweł był zmęczony. Czekają go jeszcze dużo pracy w komisariacie. Pożegnał się więc i wyszedł.

Na rynku utworzyły się grupki gapiów komentujących głośnie już w mieście wydarzenie.

Paweł wszedł do komisariatu. Panował tam wyjątkowo duży ruch. Wywiadowcy, biorący udział w ubezpieczeniu akcji, palili teraz spokojnie papierosy. Komendant powiatówki, major Krupa, znalazł czas, żeby przyjechać do Piaskowej Góry. Uśmiechnął się do Pawła. - Dobra robota.

W ciągu minuty było połączenie z Komendą Główną. Paweł zdał krótko relację. Major ucieszył się wyraźnie.

- Przywoźcie go jak najprędzej i sami wracajcie - powiedział.

- Po wstępnym przesłuchaniu natychmiast wyślę go do Warszawy. Nie znamy jeszcze miejsca ukrycia rzeźby. Dlatego proszę o przysłanie porucznika Bruzdy i jego ekipy. Jeżeli Toboła nie powie, gdzie ukrył Madonnę, tylko oni mogą ją znaleźć. Chciałbym tu jeszcze zostać do jutra.

- Dobrze, ale do szesnastej chcę was widzieć w komendzie.

Paweł odłożył słuchawkę, siedział chwilę bez ruchu, po czym przeciągnął się z ulgą.

- To co, porozmawiamy z panem Tobołą? - spytał komendant.

- Wprowadzić.

Późnym wieczorem Paweł wyszedł na miasto. Szedł w stronę Kościelnej: było ciepło, ludzie spacerowali na rynku. Na jego widok niektórzy przystawali szepcząc między sobą.

Paweł nie był z siebie zadowolony. Dręczyło go pytanie, gdzie Tobola mógł ukryć figurkę Madonny. Cała willa w Ostrowie, w której wynajmował mieszkanie, została przeszukana i zabezpieczona przez ludzi z Komendy Powiatowej. Jedyna nadzieja w fachowcach z Warszawy, którzy potrafią znaleźć igłę na parkiecie, nie zwracając na siebie uwagi tańczących. Jednak i oni będą bezradni, jeżeli Tobola wywiózł gdzieś Madonnę.

Zbliżył się do domu Zatlókowej, nie chciało mu się jednak wchodzić do tego małego przygnębiającego pokoiku. Spojrzał na sylwetkę kościoła, który stał obok potężny i ciemny. Postanowił zobaczyć, czy jest jeszcze otwarty. Przeszedł przez dziedziniec kościelny: główne wejście stało otworem. Wszedł do środka.

Mrok kościelny rozjaśniało fioletowe światło wieczoru. Zapalony był tylko jeden z trzech olbrzymich żyrandoli, zwisających na łańcuchach ze stropu. Przy głównym ołtarzu klęczały dwie stare kobiety w czarnych chustach.

Paweł usiadł w ławce rozkoszując się ciszą. Ostatni raz przyglądał się malowidłom ściennym na odrestaurowanej ścianie.

Z tyłu za sobą usłyszał skrzywienie. Nie odwrócił się. Skrzywienie nie ustawało, ale słyhać je było jakby coraz wyżej. Paweł nie wytrzymał: odwrócił się. Roześmiał się na widok gramolącego się po drewnianych schodach na chór dziesięcioletniego może chłopca. Mały wszedł na górę i z poważną miną zbierał pozostawione przez organistę nuty leżące na fisharmonii. Nad chłopcem niby olbrzymie wrota połyskiwały tajemniczo nieczynne organy.

Paweł przyglądał się im z podziwem. Nie mógł oderwać od nich wzroku. Jakaś uparta myśl krążyła mu po głowie.

Organy! Kto mi o nich opowiadał? Wstał i szybkim krokiem szedł w kierunku drewnianych schodów. Modlące się kobiety popatrzyły za nim zdziwione. Na schodach minął chłopca.

Kościół z góry prezentował się równie wspaniale. Teraz jednak Paweł nie miał czasu go podziwiać. Stał przed organami. Kiedy przyszedł tu po raz pierwszy, spotkał Tobolę. To właśnie on zwrócił jego uwagę na piękno organów. Mogła to być zasłona dymna. Dlaczego jednak organy?

- Zamykamy już kościół, proszę pana! - Przed Pawłem stał młody wikary, a za jego plecami mężczyzna, chyba organista, trzymający za rękę chłopca z nulami.

- Proszę zawiadomić księdza proboszcza, że porucznik Paweł Wert chciałby pozostać jeszcze z pół godziny w kościele, a także prosi go o łaskawe przybycie tutaj.

Wikary skinął uprzejmie głową i zaczął schodzić po schodach. Organista uczynił to samo, chociaż z widocznym ociąganiem oglądał się na swoją fisharmonię.

Kiedy wyszli, Paweł zdjął kurtkę, zakasał rękawy koszuli i zbliżył się do nieczynnych organów. Zupełnie nie wiedział, gdzie szukać. Dotykał kolejno cynowych piszczałek. Obejrzał miech i przyrząd służący do kalikowania. Wszystko to, wycierane z wierzchu, w zagłębieniach kryło masę kurzu.

Ubrudził się, dotykając wszystkiego po kolei.

Zbliżył się do znajdujących się z boku dwóch ozdobnych aniołów dmących w swoje długie trąby. Jeden z nich miał urwaną rękę, uśmiechał się jednak łagodnie, wybałuszając oczy na Pawła. Przecisnął się między nimi. Za ścianą piszczałek odkrył ku swemu zdumieniu korytarzyk lak wąski, że można było doń wcisnąć się tylko bokiem. W jego zwięzającej się górnej części zwiślały pajęczyny, w dolnej było jak gdyby trochę czyściej.

Na kolanach, podpierając się na łokciu, wczołgał się do środka. Nie widział prawie nic. Nie mógł zapalić zapalki: było tak sucho, że nawet jedna iskra wywołałaby pożar. Nie chciało mu się wracać po latarkę. Postanowił dotykiem badać centymetr po centymetrze - tak jak to robią niewidomi. Wydawało mu się, że słyszy jakieś szmery i że za chwilę złapie za ogon szczura. W ten sposób przebył około dwóch metrów. Zaczynało mu już brakować powietrza, pajęczyny włożyły mu do nosa.

Wreszcie dał za wygraną i zaczął się wycofywać. W pewnym momencie dotknął deski zakrywającej podstawę organów. Nie miała na sobie grubej warstwy tłustego kurzu i luźniej przylegała do podłoża. Nie mając punktu oparcia, nie mógł jej wyciągnąć. Z największym wysiłkiem odwrócił się na plecy, próbując znaleźć w kieszeni scyzoryk, z którym się nie rozstawał. Udało mu się wreszcie. Przekręcił się znowu na bok i podważył deskę ostrzem. Scyzoryk wygiął się niebezpiecznie. Deska ustąpiła.

Wyczuł pod ręką duże zagłębienie. Ostrożnie włożył rękę. Skrytka była większa, niż się mogło z początku wydawać. W pewnym momencie wyczuł dłonią miękką tkaninę. Był nią owinięty nieregularnego kształtu przedmiot półmetrowej może wielkości. Ostrożnie wyciągnął go i sprawdził jeszcze raz dokładnie skrytkę: nie było już nic.

Zaczął się wycofywać, starając się jak najszybciej znaleźć na zewnątrz. Chwile te były dla niego męczarnią.

Wyczołgał się na powietrze. Z dołu słyszał zbliżające się głosy. Zaczął spieszenie odwijać szmaty. Jego oczom ukazała się wreszcie wysmukła figurka kobiety. Uśmiechała się smutno, jakby wiedziała, że to z jej powodu zginęło dwóch ludzi.

Paweł siedział na drewnianym postumencie dysząc ciężko; ubrudzony, lecz szczęśliwy. Proboszcz z wikarym i organistą weszli na górę. Stanęli bezradnie, nie mogąc oswoić się z panującym mrokiem. Organista przekręcił kontakt i potok światła pozwolił im dostrzec Pawła. Ksiądz cofnął się na jego widok.

- Co się panu stało?... - Umilkł, kiedy Paweł podał mu figurkę Madonny.

Rano Paweł pożegnał się ze swą gospodynią. Był niewyspany. Kolacja u księdza przeciągnęła się do późna. Wstał wcześniej, żeby zdążyć na autobus o siódmej trzydzieści. Obiecał szefowi stawić się w warszawskiej komendzie przed szesnastą. Czekala go jeszcze długa droga.

Na rynku było mało ludzi. Na autobus czekała grupka dojeżdżających do pracy. Kujawiak,

odprowadzający Pawła, opowiadał, że tłok zaczyna się dopiero z początkiem roku szkolnego, kiedy dużo młodzieży jeździ do szkół średnich.

Nadjechał autobus. Paweł usadowił się z tyłu, przy dużej panoramicznej szybie. Odwracając się mógł widzieć oddalający się rynek. Kierowca jechał szybko, ulice były prawie puste.

Nagle dostrzegł idącą z bańką nauczycielkę. Szła ze spuszczoną głową, w szarym prochowcu z kapturem. Na widok autobusu podniosła na chwilę oczy. Paweł podniósł dłoń, pozdrawiając dziewczynę. Nie zauważyła go chyba, lecz on trzymał w górze rękę, dopóki autobus nie skręcił w szeroką ulicę, która już po chwili zamieniła się w czarną, wijącą się szosę.